ŁOWIEC POLSKI



Gach. Z serji nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego" 1938 r. Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 5 (925) 1 MARCA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



Niedźwiadki nieświeskie (Vide „Łowiec Polski" Nr. 4 str. 126). Fot. K. Zienkiewicz.

STANISŁAWOWI ZABOROWSKIEMU W OSTATNIM HOŁDZIE

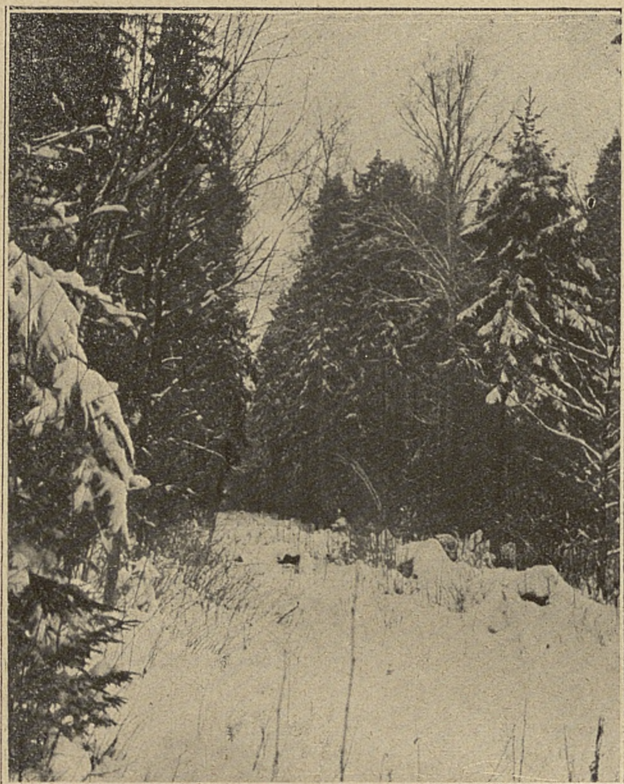
Dnia 21 stycznia 1939 roku odszedł na zawsze w krainę wiecznych łowów ś. p. Dr. Stanisław Zaborowski, odszedł żałobnym szlakiem wielkich pisarzy łowieckich, za Juljanem Ejsmondem, Józefem Weyssenhoffem, Albertem Mniszkiem i Bolesławem Świętorzeckim. Zgonem swoim zamknął niejako pierwszy i najwspanialszy cykl polskiej literatury łowieckiej, cykl — jakiego obecni pisarze stworzyć już nie potrafią.

Polska literatura łowiecka faktycznie rozwijać się zaczęła na dobre w początkach obecnego stulecia. Dzieła, które się ukazały przed tym okresem, były bardzo nieliczne, wychodziły dorywczo i dziś są właściwie rzadkiemi zabytkami, których ogół naszych myśliwych nie zna zupełnie, albo zna tylko z tytułów. Tych kilkanaście „białych kruków", przechowanych starannie w bibljotekach państwowych czy zbiorach prywatnych, nie można uważać za dzieła popularne, które zapoczątkowały czytelnictwo łowieckie.

Dopiero po roku 1900 książki myśliwskie sypnęły się obficiej, a ich „złoty wiek" przypada na czasy, gdy polował Henryk Sienkiewicz z Władysławem Rabskim, Józefem Weyssenhoffem i Stefanem Krzywoszewskim, a u pp. Hieronimostwa Kieniewiczów w Bryniowie na Polesiu odbywały się doroczne wiosenne zjazdy towarzysko-myśliwskie. Wtedy to powstały „Soból i panna" oraz „Puszcza", wtedy też Zaborowski stworzył swe nieśmiertelne dzieło „W sercu kniei". A po nich, po wojnie, literatura łowiecka jęła się rozwijać coraz pomyślniej i obficiej.

Obok Weyssenhoffa — Zaborowski był tym, który rozpowszechnił książkę myśliwską nawet wśród niemyśliwych i zwrócił uwagę ogółu na poezję łowiectwa. Źle wyraziłem się, pisząc, że Zaborowski tylko zwrócił uwagę — On podbił całkowicie czytelników oczarował ich melodją słów i zachwycił plastyczną barwnością kreślonego obrazu kniei. Opisów równych tym, jakie stworzyło Jego pióro — nie mieliśmy jeszcze w naszej literaturze łowieckiej i już chyba prędko mieć nie będziemy.

By należycie ocenić talent Zmarłego, nie potrzeba nawet być myśliwym. Każdy człowiek, który, będąc w lesie, zwraca uwagę na otoczenie, widzi różnorodność barw, czuje specyficzne wonie grzybów, pleśni i więdnącej jesiennej roślinności — po przeczytaniu jednego obrazka Zaborowskiego musi przyznać, że wszystko to w nim znalazł, ujęte wiernie i artystycznie. Opisy tego Autora przypominają jakąś bezcenną, pracowitą inkrustację. Każde słowo jest specjalnie dobrane tak, by wyraziło najlepiej to, na czem autorowi zależało, a zarazem by wyraziło w sposób szczególnie piękny i prawdziwy. Zaborowski pisał prozą — stworzył jednak najpiękniejszą poezję myśliwską.



Z terenu Wojsk. Tow. Łow. Bronna Góra. Fot. W. Makowski.

Nie był pisarzem płodnym. Rzadko ukazywały się Jego artykuły, jeszcze rzadziej książki. Wydał broszurkę „Na niedźwiedzia", wchodzącą później w skład następnego zbiorku obrazów myśliwskich p. t. „W sercu kniei" oraz „Z psami" — również włączoną do tej książki przy następnem jej wydaniu. „Afrykę" przechowywał w rękopisie przez szereg lat, aż do roku bieżącego, w którym zaczęła ona ukazywać się w „Łowcu Polskim". Ostatnio, w początkach jesieni 1938 r. napisał cykl opowiadań o łosiu p. t. „Przed laty", drukowany w grudniowym (23—24) numerze „Łowca" lwowskiego z r. ub. Napisał niewiele, ale każda praca Zaborowskiego stanowiła cenny nabytek dla łowieckiej literatury pięknej, bo nie miała sobie równych.

Dziś, gdy odszedł od nas na zawsze, gdy pióro Jego zamilkło na wieki, prace Zaborowskiego powinniśmy położyć na swych biurkach, pod ręką. I kiedy udręki szarego życia zatrują nam serce, kiedy spracowane umysły będą potrzebowały wytchnienia, przeczytajmy jeden z obrazków: ot, naprzykład „Jak trubadur", „Na niedźwiedzia", „Z psami", czy ostatni „Przed laty". Czytajmy je głośno, by usłyszeć w dźwięku słów szmer budzącego się lasu, grzmot skrzydeł głuszcowych, albo chrzęst zeszroniałego śniegu pod stopami idącego zwierza. Czytając, zobaczymy te ostępy, usłyszymy głosy ich mieszkańców i wtedy będziemy szczęśliwi, dalecy od złego miasta i złych ludzi.

Zaborowski odszedł po dokonaniu pracowitego i kryształowego żywota. My zaś, czytelnicy i pisarze łowieccy, odbywający jeszcze swą ziemską wędrówkę, powinniśmy popularyzować Jego nieśmiertelne prace wśród najszerszych rzesz myśliwych, do których one dotąd nie dotarły. Znać je muszą wszyscy, bo prace Zaborowskiego — to chluba naszej łowieckiej literatury pięknej, to najpiękniejsze utwory myśliwskie — jakie zostały napisane po polsku.

W jednym z listów do mnie pisał Zaborowski:

„Dziwna, dziwna to namiętność, to nasze łowiectwo. Kto namiętność tę nosi w duszy, kto szczerym jest, prawdziwym myśliwym — temu polowanie jest jak sen, jak bicie serca, jak miłość. Ale takich jest niewielu, wybrani tylko. Inni polują dla zwyczaju, przez snobizm, przez naśladownictwo. Najwłaściwszą klasą myśliwych jest klasa myśliwych-poetów, którzy w łowiectwie odczuwać potrafią i na pierwszem stawiają miejscu stronę piękna, które niezepsute i nieskażone znaleźć można tylko w dzikiej, pierwotnej przyrodzie. Przyroda, przyroda, przyroda — na niej zaczyna się i kończy wszystko, co szczere jest i piękne".

Tych parę zacytowanych zdań jest zarazem najwierniejszą charakterystyką działalności literackiej Autora. To jest credo Zaborowskiego, któremu pozostał wierny aż do śmierci.

Dr. Stanisław Zaborowski nie żyje. Trudno jest pogodzić się z tą smutną rzeczywistością, że Jego mistrzowskie pióro przestało już tworzyć na zawsze, że nie zobaczymy więcej Jego wysokiej, szlachetnej, prawdziwie pańskiej postaci w swojem gronie. Odszedł od nas największy pisarz łowiecki, przedostatni przedstawiciel plejady potentatów pióra myśliwskiego. Bo z grona ich pozostał już tylko jeden — Włodzimierz Korsak.

*

A gdy staniemy kiedyś o wiosennym brzasku w głębi puszczańskiego bagniska, by ułowić natężonym słuchem pierwsze takty głuszcowej pieśni, gdy zachrapie subtelnie przeciągająca górą słonka i potężnym akordem ozwą się na błocie żórawie — wspomnijmy na chwilę Zaborowskiego, niezrównanego piewcę czaru łowów wiosennych. I w nabożnem skupieniu pochylmy wówczas czoła na znak hołdu dla Jego świetlanej pamięci.

LEOPOLD PAC POMARNACKI.



Z polowań z krykuchą. Fot. A. Dobrski.

JESZCZE TROCHĘ O KACZKACH

Zarówno w Polsce, jak i w innych krajach europejskich, zauważono w ostatnich latach bardzo poważne zmniejszanie się ilości kaczek wszelkich gatunków. Gnieniegdzie zmniejszanie to przybiera rozmiary katastrofalne. Sprawą tą interesują się dziś, oprócz sfer łowieckich, również ornitologowie i wszelkie instytucje, zajmujące się ochroną przyrody, narazie jednak nie potrafiono znaleźć radykalnego lekarstwa. Nie należy zresztą się łudzić, by takie można było znaleźć lekarstwo, któreby odrazu pomogło, a to dlatego, że zbyt wiele przyczyn jest powodem zmniejszania się ilościowego stanu kaczek.

Niektóre z tych przyczyn są zbyt ogólnej natury, by w tym artykule warto się było nad niemi zastanawiać (np. masowe meljoracje wodne, ginięcie kaczek na morzu z powodu smarów okrętowych itp.), inne są jeszcze zbyt mało wyświetlone, jeszcze inne jednak są bardzo ściśle związane ze sprawami łowieckiemi. W n-rze 30/1938 r. „Łowca Polskiego" poruszyli właśnie te bardzo istotne sprawy p. M. K. Pawlikowski w artykule „Trochę o kaczkach" i w dłuższym przypisku do tego artykułu p. W. Garczyński. Pomimo jednak, że sprawy stanu kaczek powinnyby interesować polskich myśliwych i wymieniony artykuł wprost zachęca czytelników do zabrania głosu w tej kwestji — jakoś nikt dotąd nie kwapi się z dyskusją.

Zarówno p. Pawlikowski, jak p. Garczyński, wyrażają wątpliwości, czy obecne terminy ochronne dla kaczek są wystarczające. Patrząc na tę sprawę z punktu widzenia myśliwego, stwierdzają, na podstawie własnego doświadczenia, że chyba polowania wiosenne na kaczory i lipcowe na starki i młódki przyczyniają się do wyniszczenia kaczek. Z mego doświadczenia myśliwskiego mógłbym dodać jeszcze nieco faktów stwierdzających ubytek kaczek w Polsce, ale to już chyba niepotrzebne, nikt, zdaje się, nie kwestjonuje, że kaczek jest coraz mniej. Chciałbym natomiast rzucić nieco światła na kwestję polowania wiosną i w lipcu, jako ornitolog, z punktu widzenia czysto teoretycznego.

Zacznijmy od wiosny. Czy polowanie wiosenne może mieć wogóle skutki ujemne i dlaczego? Na wstępie zaznaczę, że teorja o tłuczeniu jaj przez kaczory i ich rzekomej „szkodliwości" z tej przyczyny dla hodowli jest zupełnie niezgodna z prawdą. Wprawdzie zdarzają się czasem sporadyczne wypadki, że kaczor stłucze jaja, ale są to wypadki zupełnie wyjątkowe i nie mające w praktyce najmniejszego znaczenia; normalnie kaczor nie interesuje się gniazdem zupełnie. O teorji tej należy zapomnieć; przez odstrzeliwanie kaczorów napewno nie dopomagamy kaczkom w hodowaniu potomstwa.

Jak wiadomo, w okresie gdy samice siądą na jajach, kaczory przestają się troszczyć o swą dotychczasową małżonkę, nie są więc jej wtedy już potrzebne. Nie wynika jednak z tego, by przed tym okresem nie był kaczor potrzebny samicy, nietylko do samego aktu zapłodnienia. Stwierdzono, że tak ważną rzeczą, jak wybór miejsca na gniazdo, rzeczą trwającą kilka do kilkunastu dni, u wszystkich kaczek naszych, nie lęgnących się w dziuplach, zajmują się zarówno kaczor jak i kaczka, i to ten pierwszy w stopniu bynajmniej nie mniejszym od niej. Jeżeli więc pozbawimy kaczkę samca, to musi ona dopiero szukać innego partnera, następuje okres specjalnych zalotów przy łączeniu się w pary, potem toki, aż wreszcie nowa para znowu zaczyna szukać miejsca na gniazdo. Następuje więc w takim przypadku znaczne opóźnienie lęgu.

W tem miejscu nasuwa się pytanie, czy owdowiała kaczka zawsze znajdzie nowego męża, czy zawsze kaczorów jest więcej, niż kaczek? Zdaje się, że tak, ale nic nie wskazuje, żeby przewaga kaczorów miała być



Krzyżówka na gnieździe. Fot. J. Jabłonowski.

bardzo znaczna. Istnienie nadliczbowych samców, „luzaków", stwierdzili ornitologowie z całą pewnością u kaczki hełmiastej *(Netta rufina);* mała to dla nas pociecha, bo gatunek ten w Polsce się nie lęgnie. Odnośnie innych gatunków nie rozporządzamy narazie ścisłemi informacjami, podam jednak kilka cyfr, wyrwanych na chybił trafił z literatury, rzucających pewne światło na tę sprawę.

W różnych miejscowościach Szwajcarji zaobserwowano w czasie wędrówki wiosennej następujące ilości cyranek: 58 par policzonych, parę razy po „kilka" czy „dużo" par, a pozatem luzem chodzących samców 33 i samic 14. Od połowy kwietnia notowano już prawie wyłącznie pary. (Archives suisses d'Ornith., I., 1935). W tem zestawieniu nie widać, by ilość luzaków kaczorów mogła być bardzo znaczna.

Z tego samego źródła można zaczepnąć też informacje o cyraneczce; w 20 obserwacjach, w których jest podany stosunek płci (tylko z marca i kwietnia), łącznie zauważono samic o jedną więcej, niż samców.

Z moich własnych obserwacyj, dotyczących krzyżówek, wynika, że istnieje pewna ilość kaczorów luzaków, w każdym razie mniejsza od ilości par, mających w danej miejscowości się gnieździć (niezależnie od par i kaczorów-luzaków, zatrzymujących się tylko w czasie przelotów). Są to kaczory, które naogół najłatwiej idą do krykuchy. Zapewne więc, jeżeli chodzi o okolicę, w której gnieździ się d u ż o kaczek, to zastrzelenie k i l k u kaczorów nie będzie nieszczęściem, może nawet nie wywrze żadnego wpływu na stan kaczek.

Tembardziej więc nie będzie szkody z zabicia kaczorów przelotnych — może ktoś powiedzieć. Otóż właśnie, że może być szkoda większa — teoretycznie. Jeżeli pozbawimy samca kaczkę pochodzącą z dalekiej północy, normalnie siadającą na jaja bardzo późno (czerwiec), i straci ona, jak wyżej wspomniano, czas na szukanie nowego towarzysza, to może się zrobić tak późno, że pisklęta wylęgną się gdzieś w sierpniu i nie zdążą dorosnąć w czasie krótkiego lata północnego. W ten sposób u nas działamy na szkodę stanu ilościowego kaczek z północo-wschodu, czyli okolic będących dotąd jednym ze spichrzów kaczych Europy. Nie może zaś już najmniejszej ulegać wątpliwości, że nadmierne wystrzelanie kaczorów z par lęgowych, musi zakłócić normalny przebieg lęgów. Należy też wziąć pod uwagę, że większość naszych gatunków kaczek już w kwietniu zaczyna znosić jaja, już więc w tym miesiącu trudno rozróżnić, bez pewnej wprawy i dłuższej obserwacji, kaczki „nasze" od przelotnych gości.

W powyższych rozważaniach chodziło o to, czy sam fakt zabicia kaczora na wiosnę może mieć skutek szkodliwy. Należy się też zastanowić nad tem, czy fakt samego polowania nie daje skutków ujemnych. Jest rzeczą powszechnie znaną, że kaczki przyzwyczajają się łatwo do hałasów i do obecności ludzi, nie dowodzi to jednak, by nie zwracały uwagi w okresie lęgowym na stałe płoszenie ich. A polowanie z podrywu jest płoszeniem (na ciągu i z krykuchą naogół nie). Chyba nikt nie będzie wątpił, że jeżeli kaczki, poszukujące właśnie miejsca na gniazdo, będą spędzane i straszone strzałami, to tego właśnie miejsca na gniazdo nie wybiorą. Warto też zaznaczyć, że wyboru miejsca dokonują one prawie wyłącznie w godzinach porannych, płoszenie więc w tym właśnie okresie dnia ma znaczenie największe. Jeżeli jednak nawet gniazdo zostanie założone i samica siądzie na jajach, to jeszcze płoszenie jej może mieć złe skutki.

Zacytuję tu słowa świetnego hodowcy ptaków w niewoli, Heinrotha, dotyczące kaczek w berlińskiem Zoo, a więc przyzwyczajonych do ludzi i prawie że zupełnie oswojonych: „Ludzie, nic nie przeczuwając, zbliżają się do gniazda, a ptak za każdym razem coprędzej ucieka... W dnie obfitujące w zwiedzających kaczka wogóle nie przychodzi na gniazdo, a wkońcu zupełnie opuszcza lęg". (Verhandl. des V Intern. Ornith. Kongresses, Berlin 1911). Jeżeli tak się zachowują kaczki w ogrodzie zoologicznym, cóż dopiero dzikie. Najzupełniejszą więc rację mają pp. Pawlikowski i Garczyński, podkreślając konieczność bezwzględnego spokoju w czasie lęgowym. Musimy się zaś z tem zgodzić, że chodzący z zamiarem zabi-

cia jedynie kaczora myśliwy, nieraz płoszy z gniazda samice.

Nie twierdzę, by należało zamknąć zupełnie wiosenne polowanie na kaczki. W interesie samych myśliwych jednak leży ograniczenie go pod względem ilościowym i prowadzenie w sposób jaknajmniej powodujący straszenie lęgowych samic.

Polowanie w drugiej połowie lipca nie byłoby zupełnie szkodliwe gdyby obejmowało ono tylko osobniki lotne. Zupełnie słusznie jednak zauważa p. Pawlikowski, że „rokrocznie niecierpliwy myśliwy zaczyna polowanie na kaczki punktualnie 16 lipca i — cóż się okazuje? Połowa stadek jest lotna, połowa — nielotna". Większość myśliwych rokrocznie z tem samem zdumieniem stwierdza ten stan rzeczy, a tymczasem jest to stan zupełnie normalny. Pewna część krzyżówek, cyranek, cyraneczek, wszystkie głowienki, płaskonosy i krakwy niosą jaja dopiero w maju, podgorzałki dopiero w czerwcu. Czas wysiadywania trwa 20—28 dni, a więc pisklęta z jaj zniesionych w drugiej połowie maja, w dniu 16 czerwca mają 2—3 tygodnie życia. Dodajmy do tego jeszcze, że w lipcu zmieniają pierze samice cyraneczek, część samców i samic krzyżówek, samice rożeńców, samce i samice płaskonosów, część samców krakw, samce i samice podgorzałek i głowienek, a więc w okresie tym spotykamy nielotne młode ptaki oraz nielotne stare, które podczas pierzenia właśnie wtedy straciły lotki.

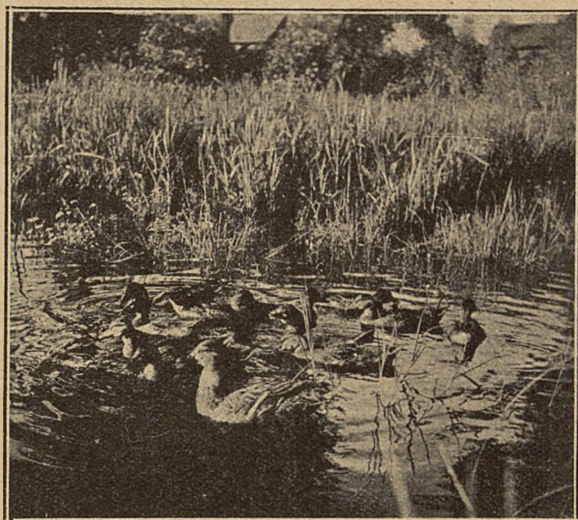
Podobnoć są myśliwi, dla których właściwym sposobem polowania na kaczki jest wyłącznie strzelanie nielotnych sztuk na wodzie — przed nimi uchylam kapelusza i nie wdaję się w dyskusję, ale niech nie narzekają potem, że kaczek ubywa. Zaznaczyć natomiast muszę, że nie stwierdziłem nigdy sam, ani nie słyszałem, by ktoś napewno stwierdził, żeby starki od niewyrośniętych jeszcze młódek brały udział w ciągach. Nie zachodzi więc, zdaje się, obawa zabicia na ciągu samicy wodzącej młode.

Sądzę, że polowanie w drugiej połowie lipca powinno być o tyle ograniczone, żeby nie dochodziło do porzezi młódek i nielotnych starek. *) Czy na to jest potrzebna zmiana czasu ochronnego, czy są inne sposoby, to już pozostawiam do rozstrzygnięcia osobom, które w tej sprawie mają głos decydujący.

Zdaje mi się, że omówione powyżej kwestje są wszystkiemi, które dotyczą bezpośrednio łowiectwa, z niem są ściśle związane i od myśliwych uzależnione.

*) Osiągnąć to można jedynie przez otwieranie polowania na kaczki dopiero z dniem 1 sierpnia, w myśl uchwały Międzynarodowej Rady Łowieckiej (Przyp. red.).

Na zakończenie jeszcze kilka ciekawych cyfr z nieco innej dziedziny, mianowicie melioracyj wodnych.



Krykuchy. Fot. Inż. T. Śledziński.

W osuszaniu wielkich połaci kraju dla celów rolniczych przodowała doniedawna Ameryka. Kosztem ogromnych wkładów osuszono w Stanach rozległe bagniska, spodziewając się otrzymania równie rozległych łanów zbóż. Ostatecznym wynikiem było bardzo często utworzenie się dużych obszarów pustynnych, huragany piaskowe, itp. Oczywiście ptactwo wodne i błotne zanikło bardzo silnie. A obecnie? W ciągu ostatnich trzech lat rząd wyasygnował sumę 20 miljonów dolarów na zamienienie z powrotem na mokradła 1 — 3 miljonów akrów poprzednio osuszonych terenów! Jeszcze dalsze inwestycje tego rodzaju są przewidziane, a przez to tworzą się tam znów ośrodki dla ptactwa wodnego. (G. Pearson, International Cooperation for Bird Preserwation, odczyt wygłoszony na zjeździe Międzyn. Komitetu Ochr. Ptaków 1938). Do tych samych zresztą rezultatów muszą wszędzie doprowadzić zbyt jednostronnie traktowane i nieprzemyślane meljoracje. *)

ANDRZEJ DUNAJEWSKI

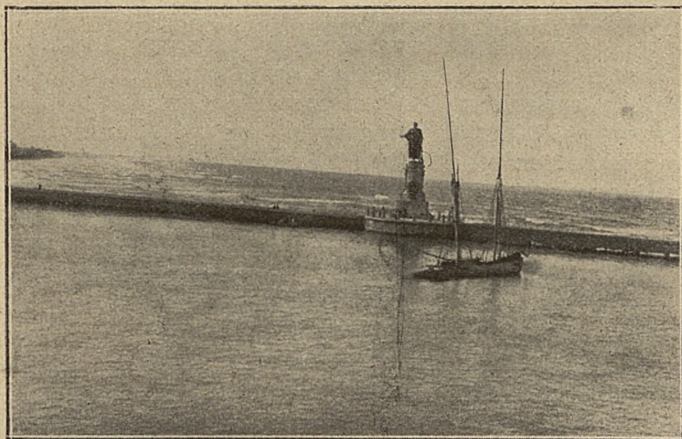
*) Wydobywające z pod wody nie żyzny grunt, lecz bezwartościowe piaski i inne nie nadające się do uprawy gleby (Przyp. red.).

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

Na statku dzień zaczyna się o 7-ej rano, kiedy stukają do drzwi i wołają do kąpieli. Po nocy źle spędzonej w dusznej, gorącej kajucie, z której wychodzi się zmęczonym raczej, a nie wypoczętym, chłodnawa, orzeźwiająca kąpiel stanowi rozkosz prawdziwą i dodaje energji na cały dzień. Po kąpieli tualeta i o 9-ej, kiedy ubrać się już zdążą wszyscy, jak w koszarach, trąbka (jesteśmy przecież w Niemczech), zwołująca na śniadanie. Po jedzeniu, kto żyje idzie na pokład cieszyć się morzem, słońcem i świeżem powietrzem ranka, kiedy żar nie piecze jeszcze zbytnio.

W ciągu doby są to najprzyjemniejsze chwile na statku. Wydostawszy się z ciemnych, dusznych kabin, podróżni patrzą na świat wesoło, cieszą się ruchem, światłem i, kręcąc się po pomostach, zaglądają w każdy kąt. Nakryte dachem pokłady podobne są wówczas do promenady gdzieś u wód i, gdyby nie falujące dokoła przestworza wody i słońce, jakiego nie widzi się na lądzie nigdy, pomyślećby można, że ci spacerujący w białych trzewikach pasażerowie, to czekający na kubek wody kuracjusze.



Z albumu Autora.

Dolce far niente, w najlepszem tego słowa znaczeniu, kwitnie; każdy stara się zabić czas, jak umie najskuteczniej i najprzyjemniej. — Jedni czytają albo piszą, inni siedząc lub spacerując gawędzą, a inni wreszcie, najleniwsi, nie robią nic, tylko wpatrują się w przestrzeń i hypnotyzują się widokiem morza.

Dużem powodzeniem cieszy się fotografja; gdzie spojrzeć, otwarte, gotowe aparaty.

Anglicy, których dużo jest na statku, trzymają się między sobą i albo chodzą dla trening'u dużo, albo oddają się sportom, dostosowanym do braku przestrzeni. Major R., mężczyzna 40-letni przeszło, skacze przez sznurek, jak mała dziewczynka. Nie powiedziałby nikt, że dowodził pułkiem podczas ostatniej wojny przeciw Burom.

Damy siedzą na fotelach w cieniu, zajęte robotą i plotkami. Rozlana, jak nieudana legomina, Frau Komerzienrat opowiada bez końca, w kółko, jakie to zasługi położył dla kolonji niemieckich Herr Komerzienrat, jej mąż, którego jedzie właśnie odwiedzić i pokrzepić.

W rozmowach poruszane są głównie tematy aktualne: na pokładzie podróż, żegluga i upał, a w barze — strzelby i polowanie. Najmniej stosunkowo kłamią myśliwi. Spotykamy tam sportsman'ów, którzy ze sztucerem w ręku, pieszo, od Oceanu do Oceanu, przeszli wpoprzek Afrykę całą i polowali wszędzie, na wszystkie rodzaje zwierza, jakie posiada Czarny Ląd.

Między innymi, poznajemy tam osobistość znaną w świecie sportu egzotycznego szeroko, R. J. Cunninghame'a, jednego z najdoświadczeńszych myśliwych afrykańskich ostatnich czasów. Strzelec i podróżnik pierwszej wody, godny następca Kirby'ch i Baker'ów, Cunningham wysłany został przez rząd angielski, jako kierownik naukowo-myśliwskiej wyprawy szwedzkiej, jadącej do Afryki Wschodniej po zbiory dla muzeum uniwersytetu w Sztokholmie. Do wyprawy, prócz Cunninghame'a, należy szwedzki profesor zoologji, dwóch jego asystentów i preparator. Przewodnicy, służba i tragarze, zamówieni naprzód, oczekiwać mają na miejscu. Inwentarz wyprawy, zakupiony w Londynie, przedstawia się bardzo bogato; w Kilindini na komorze widzieliśmy setkę może skrzyń i pak, znaczonych nazwiskiem Cunninghame'a.

Wyprawa zapowiada się obiecująco, bo po trzech miesiącach pobytu w Afryce Wschodniej myśliwi udać się mają w głąb, dalej jeszcze, aż za Wielkie Jeziora, do najlepszych rewirów w Ugandzie, gdzie strzelać będą bawoły i słonie. — Powodzenie uważać można za zapewnione; ręczy za nie poniekąd osoba przywódcy, którego rząd angielski wysyłać zwykł wówczas tylko, gdy na dobrych wynikach zależy mu prawdziwie.

Tenże sam Cunninghame przed kilku laty prowadzić miał podobną ekspedycję, urządzaną przez władze Protektoratu dla księcia Walji.

Obmyślana naprzód, na lata całe, przygotowana z największą starannością we wszystkich szczegółach, wyprawa zapowiadała się rzeczywiście po królewsku i zaćmić miała wszystkie dawniejsze.

Los jednak postanowił inaczej; wyprawa do skutku nie miała dojść nigdy, Cunninghame i Anglja nie mieli szczęścia. — Śmierć króla Edwarda VII pokrzyżowała plany wyprawy; królowi Jerzemu V nie czas było myśleć o polowaniu. — Na niebie polityki coraz czarniejsze zalegały chmury, mówiono wówczas już o strzelaniu grubszego zwierza, niż afrykański.

Przygotowania, wspaniałe rewiry i całą wyprawę ofiarowano Roosevelt'owi, byłemu Prezydentowi Stanów Zjednoczonych, który, wraz z synem, wybierał się właśnie do Afryki. Według pierwotnego planu prowadził imprezę Cunninghame.

Jak to było do przewidzenia, wyprawa i polowanie udały się wybornie; wynik i zdobyte trofea przeszły oczekiwanie Amerykanów. Cunninghame jednak tematu tego nie porusza, a zapytywany do poznania daje grzecznie, że o wyprawie swej z Roosevelt'em opowiadać nie lubi. Tymczasem, nie tracąc czasu na statku, pisze podręcznik, jak oprawiać i przechowywać należy rogi i skóry zabijanych zwierząt.

Dla myśliwego, jadącego na Czarny Ląd po raz pierwszy, znajomość i opowiadania znakomitego

strzelca skarbnicą mogły być prawdziwą. — Niestety, jako rodowity Szkot, Cunninghame mówi po angielsku tak niewyraźnie, że zrozumieć go, wtedy zwłaszcza, kiedy mówił o polowaniu i terminów używał technicznych, nie zawsze byłem w stanie.

Kiedyś, rozmawiając z nim o niebezpieczeństwach polowania w Afryce, pytałem go, jaki rodzaj zwierza uważać należy za najgroźniejszy: słonia, nosorożca, lwa, czy bawołu? — „Lwa — odpowiedział bez namysłu — wątpliwości co do tego nie może być żadnej. — Po lwie idzie słoń, a potem dopiero bawół i nosorożec." Gruboskórce, mówił, niebezpieczne bywają niekiedy ogromem swym i wielką żywą siłą inercji, których odwrócić dość szybko ani powstrzymać nie można najcelniejszą nawet kulą. — Olbrzymie te zwierzęta jednak poruszają się hałaśliwie i widoczne są zdaleka, co razem wzięte, pozwala myśliwemu przygotować się do obrony, albo uniknąć napadu. — Tymczasem lew, choć ryczy, uderzając, ruchy ma tak nagłe, tak błyskawiczne, że myśliwy, w zaroślach zwłaszcza i zaskoczony, mimo najzimniejszej krwi ogarnąć położenia dość szybko, ani użyć broni nie jest w stanie. — A człowiek w paszczy lwa, to mysz w zębach kota; w najlepszym razie strzelec wychodzi ze spotkania takiego kaleką.

Niebezpiecznym bardzo bywa również niekiedy chytry, mściwy bawół, jeżeli pójdzie raniony i, zaczaiwszy się na własnym tropie, napadnie na myśliwego znienacka.

*

Z innego punktu widzenia ciekawem jest również wielce towarzystwo, z którem zasiadamy do stołu.

Jak wymagała tego prosta grzeczność, zapoznać się z sąsiadami i nawiązać rozmowę wypadało przy pierwszym zaraz wspólnym posiłku. Znajomość zrobić było łatwo, bo nazwiska swoje i stan cywilny podróżni wiedzą wprzódy już z listy pasażerów, wydawanej ilekroć statek opuszcza ważniejsze porty.

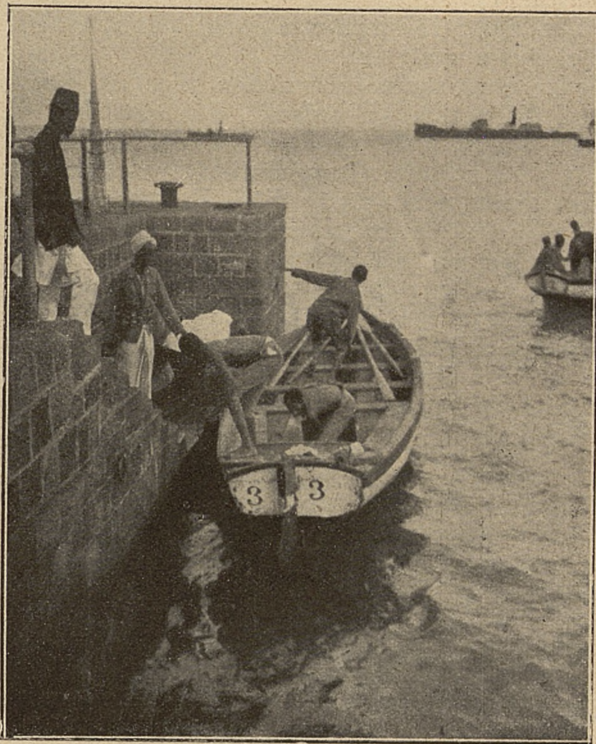
Do stołu zatem zasiadają z nami: młody, obwieszony świecidłami, czarny jak kruk, Portugalczyk, jadący do Afryki Południowej, gdzie obejmować ma spadek po krewnym; bezbarwny raczej agent, Francuz, wysłany przez firmę swą z Marsylji, aby zwiedził faktorje nad Zambezi i młody inżynier, Niemiec, budujący drogę żelazną w niemieckiej Afryce Wschodniej.

Ta część towarzystwa jednak ciekawego, ani osobliwego nie przedstawia nic. Są to przeciętni pasażerowie I klasy, dobrze wychowani, grzeczni, jak przystało na ludzi cywilizowanych w podróży; wieczorami ubierają się w smoking, mówią pocichu i zachowują się, jak cały świat.

Tem jaskrawiej zato narzuca się uwadze otoczenia, karmiona również przy naszym stole, para Niemców, młode małżeństwo podobno. — On specjalistą jest od budowy portów, ona nie podróżowała dotąd I klasą, świadczą o tem zachowanie się i ręce. Wnosząc z listy podróżnych, jadą do portu niemieckiego Tanga, o dzień drogi dalej niż my. Delektować się więc towarzystwem i miodowym miesiącem młodej pary będziemy przez cały czas podróży.

Brak elementarnych pojęć o wszystkiem, co nazywamy w życiu formami towarzyskiemi albo uprzejmością, i zanik zupełny świadomości, co mówić wolno, a co zamilczeć trzeba, kiedy w grę wchodzą instynkty zbyt pierwotne, sprawia, że dwoje tych ludzi, bardzo dobranych zresztą, widzianych zbliska, na codzień, w całej prostocie i naiwności, zastanawia patrzącego i niepokoi, jak dwa okazy oglądane w klatce. Na myśl przychodzi mimowoli, co stałoby się z otoczeniem, gdyby zabrakło kraty.

Nasza młoda para to Wszechniemcy czystej wody, z pokolenia wyhodowanego przez Bismark'a i Bernhardi'ego, wyrosłego już po Sedanie, ze złota i krwi francuskiej. Jadą do Afryki szczepić kulturę i uszczęśliwiać czarnych.



Z albumu Autora.

Według ich pojęć, przerażająco prostych i wygłaszanych otwarcie, ziemia stworzoną została, aby krzewić się na niej i rozwijać mogli Niemcy; podobnie jak morza, do których główne prawo mają statki Hamburga i Bremy. Rasa niemiecka jest rasą doskonałą, której wcześniej czy później podlegać będzie świat; duch, przemysł i handel niemiecki powinny być pierwsze, do nich należy przyszłość i panowanie.

Słabszych, którzy zrozumieć nie chcą własnego interesu i służyć rasie doskonałej, należy wytępić, aby nie zabierali „miejsca pod słońcem". Tak pozwala, tak przykazuje nawet — „*unser alter deutscher Gott*", którego wyobrażają sobie, jako jeneralnego konsula, urzędującego w niebie i broniącego tam interesów Rzeszy.

Liczyć się trzeba z mocniejszym tylko, wolno nawet pełzać przed nim do chwili, w której siły pozwolą napaść go i zgnieść z kolei.

Zdumiewającą jest żywiołowa nienawiść, z jaką ludzie ci odnoszą się do wszystkich, którzy niegermańską krew mają w żyłach. W stosunku do Francuzów i do nas n. p., których uważają za wyraźnie słabszych, nienawiść ta jest otwartą, wyzywającą; w stosunku do Anglików, których boją się jeszcze, skrytą, pełną pozornej admiracji i pochlebstwa; w stosunku do narodów liczebnie małych, jak Holendrzy albo Hiszpanie, protekcjonalną i pogardliwą. Wrogiem, jednem sło-

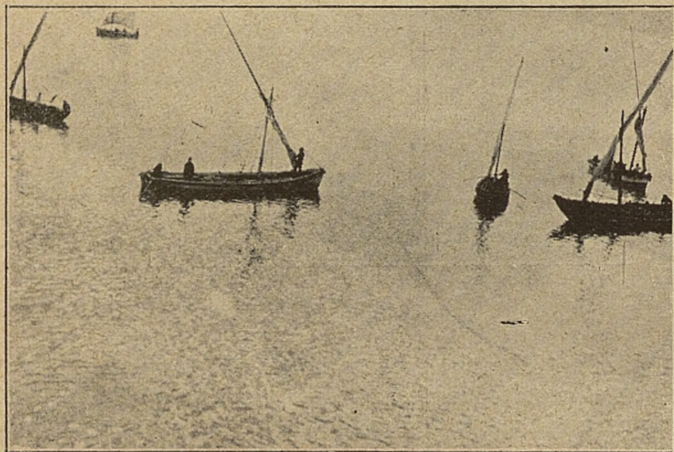
wem, jest dla nich duży i mały, silny i słaby, każdy kto żyje pod słońcem i oddychać musi powietrzem, do którego właściwie mają prawo tylko Niemcy, drugi naród wybrany; — rasa, dla której Ziemią Obiecaną jest cały świat.

Słuchający zastanawia się, co w pojęciach tych przeważa; wrodzona złość i chciwość, czy głupota?

A jednak smutną jest dola narodów, którym sąsiadować z podobnem plemieniem przykazał los.

Wszechniemiecka dama, obok której siedzieć mam szczęście przy stole, rzadko tylko udziela się w rozmowie i oddana cała rozkoszom podniebienia, czaruje nas raczej swym apetytem.

Jedzenie na statku à discrétion, więc, znając zasady dobrej niemieckiej „Hausfrau", tłomaczę sobie do pewnego stopnia wytrwałość, z jaką sąsiadka moja nakłada sobie na talerz i pochłania cały dobór jadłospisu, podawany przez steward'ów. Zapłacone — należy zjeść! Wzgląd ten odgadujemy wszyscy, co nie przeszkadza jednak, że rekordy, na które patrzymy, wprowadzają nas w podziw. — Podobną żarłoczność miałem zobaczyć podczas wyprawy naszej raz jeszcze, kiedy czarni tragarze zjadali wieczorem zwierzęta zabite w ciągu dnia. — Zresztą przyznać muszę, że ci ostatni apetyt mieli większy nawet, niż nasza współbiesiadniczka.



Z albumu Autora.

Odważna i przedsiębiorcza, jak przystało na Wszechniemkę, sąsiadka moja nie cofa się przed niczem, nawet przed potrawami, które widzi po raz pierwszy. Ta pewność siebie, chwalebna może skądinąd, bywa niekiedy przyczyną dysonansów, psujących stanowczo poziom popisów gastronomicznych, które podziwiamy.

Obnoszą karczochy — nasza dama, jedyna za stołem, bierze oczywiście pierwsza. Już nóż i widelec w ręku, jest i dobra wola, ale jak tu zaczynać, z którego końca! Karczoch stroszy się na talerzu, niedostępny, jak jeż. Drugi z kolei bierze mój towarzysz, ale, nowy Mefisto, nie śpieszy się i nie zaczyna; długo szuka soli, łamie chleb i, niby nie patrząc, rozmawia z sąsiadem. Trzeci, Portugalczyk, rozumie sytuację doskonale i, śmiejąc się oczami, nieskończenie długo przetrzymuje steward'a.

Sytuacja zaczyna być wyraźnie kłopotliwą. Jak tu siedzieć nad pełnym talerzem z nożem i widelcem w ręku i nie jeść! — Wszechniemka przeczuwa śmieszność i, stawiając wszystko na jedną kartę, rzuca się w imprezę naoślep. Liście karczocha jednak, nożem odcinane z powierzchni, są tak twarde, tak łykowate, że ani pokrajać ich, ani pożuć, ani przełknąć, mimo nadludzkich wysiłków nie może.

Podobnym apetytem, jak sąsiadka moja przy stole, odznacza się wszechniemiecki jej małżonek w poglądach politycznych. W jego pojęciu, skrystalizowanem zupełnie, którego nie tai bynajmniej, narody i państwa rację bytu mają o tyle tylko, o ile wcześniej czy później, zdobywanemi będą i organizowanemi przez rasę niemiecką, której to jest rolą i misją wobec ludzkości.

Owszem, istnienie narodów obcych, t. zn. w r o g i c h, według niego potrzebne jest nawet i do pewnego stopnia pożądane, bo inaczej Niemcy nie mieliby pola dla męstwa i dla „zmysłu organizacji", o którym w dowodzeniach swych wspomina chętnie. Jak przystało na męża, głoszącego zasady właściwe 70 miljonom ludu wybranego, do którego należeć ma świat, tonem przemawia jasnym, dyktatorskim.

Na przypadek „powikłań", jak nazywa pod kwiatkiem wojnę, rola Niemiec, które „są gotowe", przedstawia się według niego zupełnie prosto. — „Pierwsze — mówił — to Francja. (Naturalnie. — Ach ten Paryż, ten Paryż!) — Przedtem zapytamy Holandji — Idziecie z nami? — Nie? — Bierzemy Holandję. — Potem Belgja. — Idziecie? — Nie? — Bierzemy Belgję. — A za pieniądze, które zapłacą Francja, Belgja i Holandja wystawimy flotę, z którą damy radę i Anglji". — Ot tak, „*feste druf*", *) jak grzyby do kosza. — „No dobrze, a cóż Rosja?" zauważył ktoś nieśmiało, — „*Ach, was Russland?*" machnął ręką.

Na początek więc Europa. Zdobywca nasz załatwia się z nią krótko. — Potem zobaczymy.

Słucham skwapliwie i przypomnieć sobie usiłuję, jak brzmi dosłownie zdanie Kipling'a o Niemcach: „złośliwi, zazdrośni, chciwi i n a d e w s z y s t k o, — głupi".

Tak, sąd ten jest sprawiedliwy chyba. — Myśleć tak wolno urodzonemu, próżnemu parwenjuszowi; rozsądek jednak nakazuje nie odzywać się z tem głośno wobec Anglików i Francuzów, wobec których, na statku niemieckim, jest się przecie gospodarzem trochę. — Niegrzeczne, drażniące i — niepotrzebne.

Gdyby interesujący nasz współbiesiadnik był więcej spostrzegawczym i myśleć umiał filozoficznie, może, patrząc na żonę swą, dławiącą się karczochem, zastanowiłby się głębiej i nie patrzyłby w przyszłość z taką pewnością siebie. — Karczoch... — A cóż dopiero Francja i Anglja!

Poprzez ramię mego vis-à vis widzę twarz starszego już Anglika, który zasiada przy sąsiednim stole i rozmowy nasze słyszy niewątpliwie, bo nasz Wszechniemiec wojowniczym bywa przy jedzeniu i mówi głośno. Widocznie rozumie po niemiecku, bo coraz, ledwie dostrzegalny, na ustach zaigra mu uśmiech. Zapewne czytał Kipling'a i nie obawia się o losy Anglji.

*

Tryb życia więc na parostatku pasażerskim wspólnego ma dużo z pobytem u wód lub w pensjonacie. — Zebrani z czterech stron świata pasażerowie boczą się z początku, przeglądają listę nazwisk i, z dobrotliwością właściwą naturze ludzkiej, podpatrują u bliźnich słabe strony i śmieszności, nadające się do krytyki. — Już po tygodniu jednak wspólnej podróży, na statku

*) Słowa Kronprinz'a z powodu zajść w Saverne. (Przyp. aut.).

znają się wszyscy i rozmowy, niestety, stają się ogólne. Uwagi i dowcipy, jakie słyszymy, nie różnią się prawie od używanych w salonie, a tylko, wobec majestatu jaki tam jest dokoła, wydają się więcej płytkie jeszcze i banalne. — Trudno ich nie słyszeć, bo niepodobna chronić się na pokład, gdzie zaduch jest i gorąco nie do wytrzymania. Na pokładzie zaś pasażerowie skupiają się instynktownie, gdzie cienia jest trochę i przewiewu. — Wytwarza się więc przymus ustawicznego obcowania z ludźmi obcymi, obojętnymi, często natrętnymi, co staje się wkońcu plagą, zatruwającą rozkoszną skądinąd podróż.

Na szczęście energja, ożywiająca pasażerów zrana, trwa do lunch'u tylko, t. j. do drugiego śniadania, po którem na statku panować zaczyna wszechwładnie Morfeusz; nastaje godzina siesty. Kto ma odwagę swych przekonań i ceni wygodę, idzie otwarcie do kabiny, rozbiera się jaknajzupełniej i, nastawiwszy wentylator, spać może jako tako. — Spartanie zaś, którzy „w dzień nie sypiają", wolą udawać na pokładzie, że czytają i, połamani, rozpaczliwie śmieszni, świecąc z otwartych ust złotem „garniturów", chrapią na fotelach. — Przeświadczeni, że sen poza łóżkiem nie liczy się, nie przyznają za nic, że spali, jak zabici, a książka, którą czytali niby, leżała na podłodze, i wolą narażać się na porażenie albo na apopleksję. — Jeżeli zapytać o czem śnili, protestują uparcie: „Ja? nie spałem. Ja w dzień nie sypiam nigdy!" Niech i tak będzie. W dzień więc nie śpi na pokładzie nikt, co nie przeszkadza, że po południu, godzinami całemi, rozlegają się tam symfonje całe tonów nieludzkich, zdumiewających, mogących obudzić umarłego.

W orkiestrze tej trzyma prym młody jeszcze, pękaty pasażer o bardzo cienkich nogach, łysy, z głową Bi-babo. — Rozbrajająco komiczny, przypomina kartofel, w który, jako ręce i nogi, zatknięte są cztery zapałki. — On również „nie sypia nigdy w dzień", a kiedy... czyta po śniadaniu, słyszeć go można na długim końcu pokładu.

Dalej na południe, na Morzu Czerwonem, gdzie upały bywają większe jeszcze, senność i nieprzeparta potrzeba siesty potęgują się i ogarniają wszystko, co żyje. Z wyjątkiem sternika, czarnych palaczy maszynistów i nie sypiających chyba nigdy Chińczyków w pralni, we śnie pogrąża się cały statek, jak gdyby wyrosła na nim sen - trawa.

Cisza i spokój na pokładach trwają do chwili, w której, jak bażanty do karmienia, zwołują nas trąbką na podwieczorek. Na pokładzie, jak w salonie, regularny five-o-clock: stoliki, fotele, filiżanki z herbatą, etykietalna rozmowa, wreszcie zachód słońca i codzień te same zachwyty, te same komunały. — Poprostu wunderschön! — Elektryczność, jeszcze trochę spaceru i pierwsza trąbka na obiad; czas nadziewać smoking.

Po obiedzie kawiarnia, z oddali koncert (na trąbach), czasem dwa robry bridge'a, trochę ruchu i łóżko, aż zastukają do drzwi: kąpiel gotowa.

Tak przez dni osiemnaście. — Niby jednostajne, niby nudne, podobne jak ziarna w różańcu, dni upływają szybko i — niewiadomo jak, niewiadomo kiedy, podróż mija, jak sen, zbyt szybko.

Upajając się przestrzenią, powietrzem i morzem, w słodkiem próżniactwie od rana do nocy, dnie całe spędzamy na pokładzie, pogrążeni w kontemplacji, jak fakiry. Błogi ten stan przerywa jedynie trąbka, wzywająca do sali jedalnej, godzina siesty po lunch'ach i posiedzenia w barze, gdzie zbierają się sportsman'i płynący na Burgmestrze. Do baru chronimy się, ilekroć zagrażają na pokładzie „gry towarzyskie" albo koncert.



Z albumu Autora.

Po paru dniach zwykłej etykiety, kiedy nawiązaliśmy znajomości z kolegami myśliwymi, rozmowy w barze okazały się niezmiernie ciekawe, pełne nieocenionych uwag i wskazówek, dotyczących safari i polowania. Jadący, podobnie jak my, do Mombasa Mr. B., oficer kawalerji w Indjach, bywały myśliwy, który polował już w Kongo, w Rodezji i w Sudanie, gentleman, jak na Anglika wyjątkowo udzielający się i uprzejmy, wszczął z L. rozmowę na temat broni, jakiej używać należy w Afryce. W trakcie rozmowy, grzecznie bardzo prosił o pokazanie mu naszych sztuców.

Przegląd jednak nie wypadł pomyślnie.

Uznanie bez zastrzeżeń zyskał tylko gruby kaliber (460), należący do L. Repetjery Mannlicher'a znał dobrze i ceni wysoko ich celność i donioslość. Na Afrykę jednak kaliber wydaje mu się zbyt mały i pocisk zbyt lekki, niedość śmiertelny. Za lepszy uważa angielski kaliber wojskowy 303, który ma ze sobą i do skuteczności którego zaufanie żywi większe. Wyrok wypadł jeszcze gorzej, kiedy z kolei wziął do ręki mój sztucer 375. Widziałem na jego twarzy, zresztą dyskretne bardzo, jak gdyby zdziwienie czy powątpiewanie. Obejrzał broń uważnie, złożył się parę razy, otworzył zamknięcie, obejrzał raz jeszcze: *Yes, very handsome*. — Czy pan dużo polował na grubego zwierza? — W Europie tylko: dzików trochę, jelenie,

kilka niedźwiedzi. — Tak, uważać trzeba i mierzyć starannie. — Kaliber mały? — zapytałem. — Trzeba dobrze mierzyć. — Regułę tę znałem bez Mr. B. i — pozostałem przy swojem. Co głowa — to rozum. Młody gentleman, siedzący przy stole obok, wmieszał się do rozmowy. — Panowie pozwolą? — Na poprzedniej wyprawie, trzy lata temu, z Mannlicher'a 6,5 zabiłem dwa nosorożce, do których strzelałem. Jeden upadł po 30 krokach, drugi poszedł 200 kroków. — Tylko tę broń mam teraz ze sobą *). — Yes, zgodził się grzecznie Mr. B., trafić trzeba dobrze. Paradoxa, dla którego zresztą nie żywiłem zbytniej sympatji, nie pokazywałem wogóle.



Z albumu Autora.

Nasłuchawszy się podobnych, aż nazbyt często sprzecznych doświadczeń i teorji, debatowaliśmy między sobą niejednokrotnie, czy wyprawa pomyślaną jest należycie i czy ma widoki powodzenia. Safari i wybór miejscowości moim były pomysłem, ja przeprowadziłem pertraktacje, ja ustaliłem potrzebne przygotowania i ja ponosiłem odpowiedzialność. O polowaniach w Afryce Wschodniej czytałem dużo, znałem wszystkie bodaj większe opisy wypraw, które zapuszczały się w tamte strony i przeświadczony byłem głęboko, że biały myśliwy, zmuszony liczyć się z czasem, większych i więcej urozmaiconych możliwości znaleźć na obszarach Czarnego Lądu nie może nigdzie. Zastanawiałem się pilnie, rozważałem długo, starałem się nie zaniedbać niczego i patrzyłem w przyszłość spokojnie. Kości zresztą były rzucone. L., z natury pedant i sceptyk z zasady, nie zarzucał wprawdzie nic wyraźnego, ale — miał zastrzeżenia i wątpliwości. Jako niezrównany kolega jednak i wypróbowany, lojalny towarzysz, losy wyprawy brał do serca szczerze i do jej organizacji, podobnie jak ja, odnosił się z prawdziwym pietyzmem.

Mówiąc o organizacji i o przygotowaniach, nie należy zapominać, że safari nasza dotrzeć miała do okolic pierwotnych, całkiem dzikich, w których liczyć mogliśmy na to tylko, co ponieść mieli, na kędzierzawych głowach, czarni tragarze. Zaniedbań więc i drobnych nawet „zapomniałem" należy unikać, bo psują humor i zmniejszają urok wyprawy, a nawet narazić mogą na szwank jej powodzenie. Układając listę potrzebnych w podróży takiej przyborów i zapasów, zdajemy sobie sprawę, jak dalece niewolnikami jesteśmy niezliczonych, drobnych na pozór, a jednak niezbędnych wymagań i przyzwyczajeń, na które w zwykłem życiu codziennem uwagi nie zwracamy, o których prawie że nie wiemy. „Impedimentów" więc, t. j. gratów zabierać trzeba dużo; jak na wojnę, albo jak wybiera się do wód elegantka.

Z powodu tse-tse, spotykanej w niektórych rewirach Protektoratu pospolicie, jadowitej muchy, zabijającej domowe zwierzęta juczne, jedynym, niezbyt może pośpiesznym, lecz wygodnym bardzo i tanim środkiem transportu są tam werbowani umyślnie miejscowi tragarze — *wa'pagazi*. Ponieważ zaś, jak zastrzeżono wyraźnie w umowie, tragarz nosić więcej, niż 60 ft. czyli 30 kg., obowiązanym nie jest, bagaże wyprawy, rozdzielone stosownie, pomieszczone być muszą w odpowiedniej ilości skrzynek i pakunków.

Wzgląd ten, obojętny może kiedy chodzi o wyprawę krótką i o bagaż mieszczący się w kilku ładunkach, nabiera znaczenia, jeżeli safari potrwać ma dłużej i bagażu jest dużo. L. był zdziwiony, dowiadując się, że prócz namiotów, mebli i przyborów kuchennych, bagaż nasz liczyć będzie 26 n-rów. Liczniejsza i dalsza wyprawa szwedzka zabiera przeszło 100 przeróżnych worków i skrzynek. Zakup więc i zapakowanie inwentarza przeciętnej myśliwskiej safari, jak nasza, a potem kontrola bagażu w podróży, sprawą błahą nie jest i lekceważyć jej nie należy, zwłaszcza jeżeli zajmować się nią ktoś zechce osobiście, a nie przez urządzającego safari przedsiębiorcę.

*

Zaopatrywaliśmy się w najlepszych źródłach i u pierwszorzędnych dostawców tylko. W Londynie, gdzie dobierał sobie sztucer i siodło, L. zakupił szereg cały akcesorji używanych na safari: obszyte w gruby filc, zamykane na klucz, trzylitrowe manierki do wody, żelazne walizki na rzeczy, obozową lampę naftową nie dbającą o wiatr, noże dla preparatorów i dla tragarzy, filtr do wody, błony fotograficzne, część nabojów i t. d. Z Lubeki, od sławnej firmy Erasmi, sprowadziłem wyborne istotnie konserwy, przeważnie jarzyny i owoce, Hamburg dostarczył zaopatrzoną suto piwniczkę obozową i cygara dla L. W Paryżu jeszcze, w ostatniej chwili, w ogromnym magazynie „Aux Colonies", natrafiłem przypadkiem na nieoceniony konserwowany sok z cytryny i na przyrządzone umyślnie dla krajów gorących, w zalutowanych szczelnie puszkach, chleb i niesolone duńskie masło. Był to nabytek szczególnie udany. Do końca wyprawy i chleb i masło pozostały, jak prosto od piekarza i z mleczarni, świeże, bardzo smaczne i zdrowe.

W tych samych składach zakupiłem dalej: cztery dodatkowe ciepłe koce *), bardzo praktyczne pastylki z chininą, z opium i z salicylem, mały neseser do reparacji, w którym było „wszystko": igły, nici, guziki, agrafki, drut, haczyki itp. itp., dla siebie wreszcie kupiłem gruby, filcowy kapelusz z dużem rondem i wielką gąbkę do ablucji, w razie braku wody na kąpiel.

Zadziwiająca jest sprawność, doświadczenie, a zwła-

*) Zwolennikiem Mannlicher'a był p. H., obywatel ze Wschodniej Galicji, doskonały myśliwy i miły towarzysz podróży. (Przyp. autora).

*) Noce na płaskowzgórzach bywają bardzo zimne. (Przyp autora).

szcza wszechstronność wielkich magazynów, zaopatrujących udające się do krajów egzotycznych wyprawy i pojedyńczych, jak tytułowano mnie szumnie w „Aux Colonies" *„explorateurs"*. U takiego Richman'a lub Silver'a w Londynie, czy w „Aux Colonies" w Paryżu, podróżnik znajdzie literalnie wszystko, czego potrzebować może pod biegunem i na równiku; od odzienia, broni i namiotów, do guzików, igieł i nici, i od wielkiej składanej łodzi, do kieszonkowej busoli.

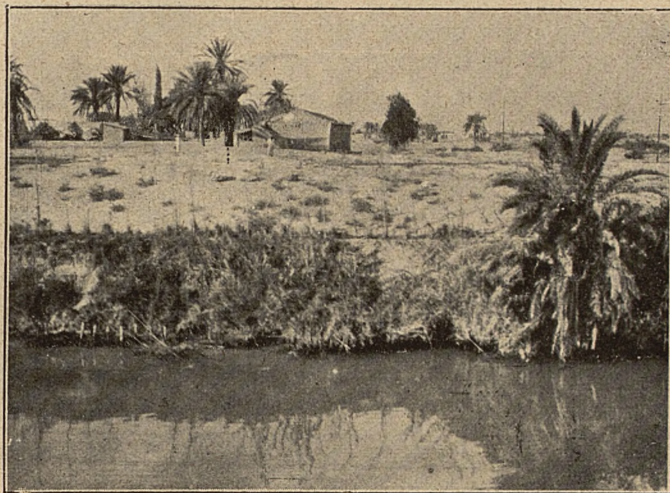
Lornetki i aparaty fotograficzne, bez których szanujący się myśliwy do Afryki nie jedzie, mieliśmy obydwaj oddawna doskonałe: L. stereoskop Gaumonta, ja Goertz-Auschütz'a 9×12. Resztę rynsztunku: odzienie — miejskie i do pola, bieliznę — zwykłą i na upały, większą część przeróżnych nabojów dostarczonych przez „Warsz. Spółkę Myśliwską", kieszonkowe narzędzia chirurgiczne, małą apteczkę, trochę opatrunków i wreszcie szczegół w wyprawie, jak nasza, nadewszystko ważny, obuwie zabraliśmy z Warszawy. Napoleon, podobno, zwykł był mawiać, że wygrywa bitwy nogami swych żołnierzy. Na safari, jak na wojnie, potrzebne są dobre płuca i zdrowe nogi. Kto chodzić nie umie, czy nie może dużo, bardzo dużo, niech na powodzenie w Afryce nie liczy. Obuwie musi być mocne i nadewszystko wygodne. Błędem nie do darowania byłoby zabierać nowe, nieużywane jeszcze, które, wobec wielkiego gorąca zwłaszcza, źródłem się stać może bardzo przykrych niespodzianek. Dwie pary sznurowanych oczywiście: grube, skórzane, ciężkie — i mocne a lekkie, płócienne, warszawskiej roboty, nosiłem przedtem przez sezon cały, polując na kuropatwy. Spokojny więc byłem, że nie zawiodą i nóg mi nie poranią. Dla większego bezpieczeństwa zresztą i uchronienia nóg od obtarcia czy odparzenia używałem grubych skarpetek wełnianych, miękkich. Niewdzięcznikiem wreszcie byłbym czarnym, nie wspominając tu o małej, podręcznej kobiałce z łyka, uplecionej na Podlasiu, którą obdarzyły mnie miłe, życzliwe rączki. Zaopatrzona w odpowiedni rzemień i zamykana na kłódkę, okazała się niezmiernie praktyczną, dogodniejszą niż wszelkie zalecane *„luncheonbasket'y"* i służyła mi wiernie przez cały czas, jako koszyk do śniadania na polowaniu.

Zważony, jak w aptece, zarejestrowany, ponumerowany bagaż nasz śpi teraz w składach, na dnie Burgmestru. Na światło dzienne nie wyjrzy aż do Mombasa, gdzie lądujemy. W Port-Saidzie zaopatrzymy się jeszcze w hełmy od słońca i w tytoń, który tam wyborny jest podobno. Tak doradzili nam bywalcy, którzy odbywali drogę tę niejednokrotnie.

Tymczasem więc załatwione wszystko. Możemy czekać spokojnie, patrzyć i cieszyć się.

Nie dowierzając zbytnio bibljotece na statku, zabrałem w podróż nowych kilka książek: „Wędrówki" Roosevelt'a, „Wschodnia Afryka" Jackson'a i „Records" Ward'a i — gramatykę (tak) *suahili*, które to narzecze używane jest powszechnie na wybrzeżu i na safari. (Nb. nazwa suahili powstała z dwóch wyrazów: „sawa-hili", co oznacza — „oszuka-każdego"). Wspominając łzawo czasy słówek i Ollendorf'a, zagłębiam się w dżungle gramatyki i „kuję" słówka. Język zresztą jest prosty, łatwy i bardzo melodyjny. Czytając książkę Roosevelt'a, zrozumiałem dlaczego mówić nie chce o wyprawie tej Cunninghame, który myśliwym jest prawdziwym, bez śladu wyobraźni.

Nervus rerum podróży, potrzebne czeki mieliśmy z Warszawy. Scena w banku: — Dzień dobry panu. Prosiłbym o czek na Mombasę... — Przepraszam, zaraz poproszę szefa. — Moje uszanowanie dla pana, czem mogę służyć? — Czy mogę dostać czek na Mombasę. Czek na...? — ...Tak, na Mombasę, to Wschodnia Afryka. Aha! — Narada, szepty, gruby skorowidz, triumf!! — Jest Mombasa! Bank of India. Pierwszy w banku czek na Mombasę ujrzał światło dzienne. Prokurent doręczył mi go z wyraźną dumą i wdzięcznością.



Z albumu Autora.

W związku z podróżą naszą w pamięci utkwił mi inny jeszcze epizod niepozbawiony humoru. W jednej z manierek zrobionych z twardego kauczuku, przywiezionych przez L. z Londynu, tragarz wytłukł dziurę. Otwór był dziwnie symetryczny, w samym środku ściany i okrągły, jak wycięty rozmyślnie. Ponieważ manierka była bardzo dogodna, z paskiem do noszenia, obszyta w gruby filc chroniący od gorąca i zamykana, postanowiłem kazać ją naprawić. W Warszawie po powrocie dałem na wzór stłuczony kauczuk, zalecając blacharzowi usilnie, żeby nowa była zupełnie taka sama. Kiedy ją odniesiono — oniemiałem. W ścianie manierki ziała ściśle taka dziura. A jednak nie brak śledzienników, którzy śmią wydziwiać na dokładność naszych majstrów.

*

Ósmy grudnia, minęło pięć dni, jak pożegnaliśmy brzegi Europy. W Marsylji padał śnieg, w Neapolu mieliśmy lato prawdziwe, dziś, na wodach greckich, chłodno jak u nas w październiku; bez ciepłego odzienia siedzieć na pokładzie nie sposób.

Pod wieczór, jeżeli dopisze pogoda, zobaczymy Kretę i popularną, dzięki Offenbach'owi, górę Ida.

Około trzeciej, zwiastując ziemię, pojawiły się niewidziane od kilku dni mewy: naprzód jedna, potem kilka, kilkanaście, aż rojem całym, krzycząc, ciągnęły za statkiem i, muskając fale, zbierały okruchy, rzucane z pokładu.

Na morzu, daleko, ukazało się kilka żagli, a kiedy słońce było już nisko, na widnokręgu, jak szara chmurka, zamajaczyła poszarpanemi zarysami górskich brzegów wyspa. Widzenie trwało niedługo: na

statku zaświeciły nocne sygnały, zapadał wieczór, mewy odleciały i dokoła znów zapanował spokój i pustka. Jutro, jeżeli nie zajdzie nic niespodziewanego, staniemy o tej porze w Port-Saidzie, w Afryce.

*

Dawno już jesteśmy na wodach Egiptu i „kurs trzymamy" teraz wyraźnie południowy. Na morzu, coraz częściej, wlokąc szarą chmurkę dymu, pojawia się i niknie parowiec, albo zamajaczy daleko gdzieś żagiel. Chłodno wciąż, ale pogoda wymarzona: niebo błękitne, jasne, morze — jak oliwa. Za nami, po horyzont, widać białą smugę, znaczącą drogę parostatku. Bywalcy zapewniają, że jutro w Egipcie będzie już ciepło, może gorąco. Może i będzie, nad pokładem rozpięto już płócienny dach od słońca.

Jesteśmy już na głównym szlaku, bo statków idących na południe spotykamy coraz więcej. Ląd, choć niewidzialny jeszcze, musi być niedaleko, bo nie brak małych barek rybackich, trzymających się blisko wybrzeży. Kapitan uprzedza, że w Port-Saidzie czekają nas formalności paszportowe i sanitarne, przed załatwieniem których wysiadać na ląd nie wolno. Pasażerowie I klasy zebrać się mają w sali jadalnej.

Siedzieliśmy w barze, kiedy przechodzący steward oznajmił, że „widać ląd". Wiedziałem, że wcześniej czy później chwila ta nadejdzie, a jednak, wyznaję, zabiło mi serce. Więc Afryka, Czarny Ląd — słowo stało się ciałem, rzeczywistością!

Już uczucie oczekiwania było tak rozkoszne, że nie śpieszyłem na pokład.

*

Daleko, na widnokręgu, między błękitem morza a błękitem nieba, ledwie widoczna, majaczyła wąska, ciemna smuga płaskiego wybrzeża. Delta Nilu, nad którą, jak igła, sterczy latarnia morska Damietty, świetnego niegdyś portu, zabitego dziś przez wykopanie kanału i przez wyrosły nad nim z bagien i z piasków pustyni, jak Feniks z popiołów, *nouveau-riche* prawdziwy, Port-Said. Tymczasem dojrzeć go, przez lornetki nawet, nie można. Od wylotu kanału dzielą nas jeszcze trzy godziny. Na jakiś czas nawet ląd znika jeszcze i tonie w morzu. Na morzu zato pojawiają się coraz liczniejsze rybackie feluki miejscowe, z czerwonym żaglem. Jedna była tak blisko, że widzieliśmy dokładnie barwę fezów i ciemne twarze załogi.

Słońce stało już nisko, kiedy ukazała się wieża w Port-Saidzie. W ciepłem, czerwonem świetle zachodu wynurzały się z morza: semafory portu, strzeliste wieżyczki minaretów i pierwsze palmy na wybrzeżu.

(C. d. n.) STANISŁAW ZABOROWSKI

GACH

Marzec uśmiecha się czule —
cieszy się z wiosny zarania.
Ziemię do piersi swej tuli,
szepcąc jej ciche wyznania.

Małe serduszko zajęcze
nie zna dziś troski i lęku —
— rapsod rycerski w niem dźwięczy,
dźwięczy miłosna piosenka!

Gach się w zaloty wybiera...
Błyszczą wesoło mu trzeszcze!
Spłynął nań duch bohatera,
duma wezbrała w nim jeszcze!

Tu wśród zarośli pomyka
cudna, jak sen — zajęczyca...
Kusi go bielą omyka,
słupka przystaje — i kica...

Kica wolniutko, a za nią
gachów podąża czereda.
Jeden już prawie dogania —
— innym przybliżyć się nie da!

Zazdrość porwała szaraka!
Szybki, jak grot błyskawicy,
rzucił się wnet do ataku...
sypią się kłaki turzycy!...

Gachy nawzajem się gonią;
groźnie im stroszą się strzyże,
każdy zazdrosny jest o Nią,
każdy chce dostać się bliżej!

Marzec się błogo uśmiecha —
żadna go troska nie dręczy.
Wielka dla niego uciecha
patrzeć na harce zajęcze!...

W. L. von FALKENAU.



NOWOROCZNE POLOWANIE NA OSZNUROWANE WILKI

W wigilję nowego 1938 r., w godzinach wieczornych został przyjęty od strażnika łowieckiego telefon, że ma on osznurowane wilki. W noc Sylwestrową część braci myśliwskiej hucznie bawiła się w lokalach publicznych. W chwili, gdy rozbawione towarzystwo siedziało przy stolikach, lub wirowało w takt walczyka, wpadł na salę łowczy, powiadamiając obecnych tam członków myśliwych, że zostały osznurowane wilki.

Na tę wieść przy stolikach powstało poruszenie. Na twarzach panów widoczna była wyraźna radość, natomiast twarzyczki pań mocno posmutniały. W gestykulacjach pań odbijało się zdenerwowanie i niezadowolenie. Jednak przewaga była po stronie panów, gdyż rachunki zostały pośpiesznie załatwione i stoliki opróżniono.

Myśliwi, którzy byli w domu i wcześniej się dowiedzieli, że są osznurowane wilki, wyjechali pierwszym odchodzącym pociągiem, ci zaś co spędzali noc Sylwestrową poza domem, na pociąg już nie mogli zdążyć i wyjechali wynajętym samochodem. Pierwsza partja myśliwych, po przybyciu do gajówki, ułożyła się na nocleg. Nazajutrz zasiedli do rannej herbatki i przy gawędce, w świetnych humorach, oczekiwali przybycia reszty myśliwych.

Z rannego raportu strażnika łowieckiego stwierdzono, że wilki fladr nie przekroczyły i jest ich cztery sztuki. Powyższa wiadomość jeszcze więcej dodała myśliwym animuszu i humoru. Czas do wyjazdu na teren się zbliżał, a reszta myśliwych z Wilna nie przyjeżdżała. Z twarzy oczekujących trudno było wyczytać, czy z powodu nieprzybycia reszty myśliwych są zadowoleni, bo mieliby większe szanse zdobyć ładne trofea, czy też niezadowoleni, bo za mało myśliwych do lepszego obstawienia miotu.

Gdy tak oczekiwano, wpadł do izby syn strażnika łowieckiego z wiadomością, że słychać warkot motoru. Aha, znaczy to, że jadą! W gajówce zakotłowało się. Myśliwi powstali od stołu, żeby zrobić miejsce dla przybywających, a sami zajęli się przygotowywaniem broni do wyjazdu na teren.

Za chwilę auto było już przy gajówce. Wysiadło kilku myśliwych i z hałasem wpadło do izby. O herbatce już nie myślano, lecz złożywszy broń, wszyscy wsiedli na furmanki i wyruszyli do lasu.

Sanna była dobra, lecz ranek dość chłodny. Po przybyciu na miejsce, wylosowano numery i, zachowując największą ciszę i ostrożność, każdy zajął swoje stanowisko. W lesie panowała cisza, jak przed burzą, natomiast serce każdego myśliwego mocno pukało, przeczuwając chwilę emocji zobaczenia tak rzadkiego zwierza.

Gdy dany został pierwszy strzał na postrach wilkom, a huczki ruszyły w stronę myśliwych, serca ich zaczęły bić jeszcze większem tempem, a natężenie wzroku dochodziło do zenitu. Serca niepodobna było utrzymać w karbach, jakby chciało wyskoczyć z gardła. Krtań schła, a ręce drżały, jednak były gotowe w każdym momencie kurczowo trzymaną broń zwrócić we właściwym kierunku. Przeżywanie takiej chwili jest dla myśliwego tą emanacją, dla której określenia nie zna się słów.

Nareszcie jeden z myśliwych p. P... dostrzegł wilka o piętnaście kroków przed sobą. Automatycznie wziął go na muszkę i strzelił. O dziwo! Zamiast strzału, tylko ciche pluśnięcie kurka o iglicę, a wspaniały wilk-koniuch dał susa i zginął w kniei.

Myśliwy zamarł. Czar, czy co? — myśli sobie. Myśl świdruje mózg. Zaczyna uprzytamniać sobie, jak się to stało? Co za przyczyna? Łamie broń — broń nie nabita. Wina własna. Z pośpiechu, czy też pod wpływem przeżywanych emocyj, zapomniał nabić broń. Stopniowo przyszedł do równowagi.

Drugi myśliwy p. S... spostrzegł też wilka o kroków dwadzieścia, idącego wprost do niego. Aha! — myślał sobie — będzie mój. „Nosił wilk, ponieśli wilka". Złożył się i strzelił. Lecz i tu, o dziwo! Broń nie wypaliła. Wilk skręcił w bok i zniknął w gąszczach. Krew uderzyła myśliwemu do głowy. Chciałby krzyczeć, płakać, jak dziecko — nie może, gdyż w gardle coś zatkało. Co za zawód, przecież świeżo nabyty ładunek. Wilk musiałby leżeć martwy.



Raport. Fot. W. Makowski.

Gdy takie myśli przychodziły do głowy, usłyszał strzał sąsiada. Św. Hubert obdarzył trzeciego p. J... wspaniałym okazem wilka-koniucha.

Czwarty myśliwy p. B... podobno miał na oku coś szarego, lecz nie dało mu się dokładnie dojrzeć, czy wilk, czy sarna, więc wolał nie strzelić. Jak się później okazało, w sznurach było stadko sarn, przyczem jedną z nich wilki rozszarpały.

Ponieważ zostało stwierdzone, że trzy wilki uszły przez fladry — polowanie otrąbiono. Myśliwi zebrali się na wyznaczony punkt. Rozmowom na temat zaszłych wypadków i przeżytych wrażeń nie było końca.

Po zakąsce i wypiciu trupowego w gajówce towarzystwo ruszyło z powrotem do Wilna. Lecz nie koniec na tem, bo oto jeden z myśliwych, p. P..., wracając z dworca kolejowego w Wilnie do domu, po drodze zgubił z dorożki dubeltówkę wraz z futerałem. Na skutek ogłoszenia w gazecie została mu zwrócona.

Tak się skończyło noworoczne polowanie z przygodami na osznurowane wilki. Może to czary kniei lub niezadowolonych żon, opuszczonych przez mężów w noc Sylwestrową, a może przeznaczenie św. Huberta?...

Inż. E. WOYNICKI



Żubr „Plisch" w Puszczy Białowieskiej. Fot. Dr. J. J. Karpiński.

TRAGEDJA ZWIERZYNY W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Bibljoteki całego świata przepełnione są książkami, których autorzy usiłują nam dać jaknajżywsze obrazy różnych kataklizmów wojennych i okropności rewolucyjnych, gdzie tysiące i miljony ludzi ginęło straszliwą śmiercią, padając ofiarą nienawiści i zwierzęcych instynktów ludzkich. Znajdujemy tam też opowiadania strasznych przeżyć w okopach ludzi znękanych do ostateczności, uważających śmierć za swe jedynie zbawienie, lub też o ludziach w bestjalski sposób zabijanych przez zrewoltowany motłoch.

Nigdzie jednak, nawet w literaturze łowieckiej, nie spotykałem opisów tych okropności, jakie w tych czasach przeżyć musiała nasza zwierzyna łowna. A były te przeżycia bodaj czy nie straszliwsze od przeżyć ludzkich. Ludzie bądź co bądź zabijali się wzajemnie, uniesieni patrjotyzmem lub fanatyzmem. Zwierzyna zaś, Bogu ducha winna, ginęła bezbronna masowo z ręki bardzo licznych wtedy band kłusowniczych. Ludzkość nad swemi stratami dawno już przeszła do porządku dziennego. Zwierzostan na naszych Kresach Wschodnich dotychczas ciosów tych przeboleć nie może.

Czytając w „Łowcu Polskim" artykuły przepojone żywą troską o los naszej zwierzyny, przyszło mi na myśl podać jego czytelnikom garść fragmentów tragedji, jaka się rozegrała dla zwierzyny w latach od r. 1915 — 1919 w Puszczy Białowieskiej, w konsekwencji której zniknął z niej raz na zawsze żubr, ongiś król wszystkich naszych puszcz polskich. Bez niego i puszcza Białowieska już nie ma tego jedynego w swoim rodzaju uroku, jaki miała wtedy, kiedy się tam jeszcze spotykało liczne stada tego zwierza. Zastrzedz się na wstępie muszę, że, niestety, późniejsze przeżycia wojenne, a za niemi nużąca praca zawodowa, zdołały zatrzeć w mej pamięci wiele szczegółów tej tragedji, naocznym świadkiem której wówczas byłem. Zgóry za to o przebaczenie czytelników proszę, a zwłaszcza drogiego dla mnie i bardzo przeze mnie poważanego łowczego p. Stefana Charczuna, który niejedno mógłby jeszcze od siebie dodać. Jestem jednak przekonany, że poruszenie w prasie łowieckiej w kilku artykułach perypetyj zwierzostanu puszczy z lat minionych przyczynić się kiedyś może do opracowania historji łowiectwa Puszczy Białowieskiej wogóle. Wszak stanowi ona do dziś dnia największy rezerwat łowiecki w Europie.

Rok 1915 przyjąć można śmiało za początek nieszczęścia zwierzyny w puszczy. Lato było wtedy bardzo suche i upalne. Wszystkie błota, jeziorka, bajory i nawet wiele strumyków — powysychały doszczęt-

nie. Pozostała po nich tylko jakaś cuchnąca, śliska maź, pełna szlamu i różnych bakteryj. Odżyły też zarazki przebytej epidemji (Bollinger). I znowu zaczęło się na wielką skalę poszukiwanie padłej zwierzyny i palenie jej pod kierownictwem łowczych. Będąc wtedy jeszcze studentem na wakacjach, ze zgrozą przyglądałem się palonym stosom w świerczynie, w pobliżu szosy, prowadzącej z Hajnówki do Białowieży. Zdaleka nadchodził coraz to natarczywiej i wyraźniej złowrogi pomruk nieustającej ani na chwilę wojny światowej i zbliżającego się jej frontu. Nadawało to całej akcji ponure, niemożliwe do zapomnienia, groteskowe piętno: tu tysiące ludzi śpieszą na ratunek chorej zwierzynie — tam, o dwieście kilometrów zaledwie, giną ludzie tysiącami, zabijając się wzajemnie!

Nasilenie epidemji było dość znaczne. Niestety, skutki nie mogły być wtedy ustalone dokładnie, gdyż już w sierpniu tego roku nastąpiła ewakuacja puszczy przez władze rosyjskie. Pamiętam, że nawet biedna „Mimi" — stara oswojona sarna, która od szeregu lat przebywała w parku przy domu w Zwierzyńcu, skąd chodziła do lasu, przywlekła się pewnego dnia z trudem do parku i tam skonała. Przed wyjazdem z puszczy ostatnią czynnością Gł. Łowczego było wypuścić na wolność zamknięte w zagrodzie przy Zwierzyńcu stado około 20 żubrów, celem uchronienia ich od pierwszego napadu ze strony ludzi. Gdy po trzech latach, we wrześniu 1918 r., z pierwszymi repatrjantami wróciłem do puszczy, żubrów, według obliczeń niemieckich, pozostało jeszcze około 150 sztuk. Jeleni, sarn i dzików było jeszcze dość dużo. Byłem niejednokrotnym świadkiem, jak niemieccy „Forsthaupmanni" wyjeżdżali na jelenie, na które polowali przeważnie z podjazdu, zawsze przytem wracając z upolowanym przez siebie bykiem. Kłusownictwa na większą skalę ze strony żołnierzy niemieckich przed rewolucją nie obserwowałem.

Podobno cesarz Wilhelm i niektórzy z wyższych dostojników wojskowych, z feldmarszałkiem Hindenburgiem na czele, odbywali kilkakrotnie polowania na żubry w puszczy. Widziałem nawet zdjęcia fotograficzne z tego w ilustracjach niemieckich.

Rewolucja niemiecka, jak za dotknięciem różdżki czarodziejki, zmieniła tych naogół karnych i dzielnych żołnierzy do niepoznania. Odrazu rozpoczęli oni handel bronią i razem z chłopami udawali się do lasu na polowania. Zabijali, rzecz oczywista, na takich polowaniach wszystko, co tylko się dało, nie wyłączając żubrów. Zaraz po wycofaniu się Niemców z puszczy, rozszalały tłum uzbrojonych w niemieckie karabiny chłopów, którzy tylko co, po większej części, wrócili z Rosji i przymierali głodem, rzucił się do lasu, rozpoczynając niebywałą rzeź zwierzyny, trwającą około 2-ch miesięcy.

Wybuch rewolucji niemieckiej zastał w Białowieży rodziny z miejscowej inteligencji: Łowczego St. Charczuna i nadleśniczego E. Barka, w skład której wchodziłem i ja również. Zdawaliśmy sobie w zupełności wszyscy bez wyjątku sprawę, jaki los spotkać może puszczę, o ile Niemcy pozostawią ją bez ochrony. To też z prawdziwą ulgą dowiedzieliśmy się z gazet i od poszczególnych oficerów, że warunki zawieszenia broni nakazują Niemcom pozostawienie w najważniejszych punktach opuszczonego terytorjum odpowiednio uzbrojonych oddziałów straży obywatelskiej. Pan E. Bark udał się do „soldatentatu" i dowództwa białowieskiego garnizonu, celem wyjednania zezwolenia na sformowanie takiej straży w Białowieży.

Po długich, upokarzających, niepozbawionych dramatycznych momentów pertraktacjach, Niemcy zgodzili się na to i przyrzekli nawet zaopatrzyć oddział w konie byłej żandarmerji polowej, z uwagi na bardzo rozległe tereny, podlegające ochronie. Postawili przytem warunek, żebym ja, będący wtedy jedynym



Ze zbioru zdjęć przedwojennych z Puszczy Białowieskiej — własność Autora.

oficerem w Białowieży, objął dowództwo nad tym oddziałem, przyjmując na siebie gwarancję za wszystkich swoich podwładnych. Mało tego — zastrzegli sobie, że broń palną wydadzą dopiero wtedy, kiedy ostatni eszelon niemiecki opuści Białowieżę.

I tak na czele uzbrojonych w szable 25 konnych strażników, rekrutujących się przeważnie z byłych żołnierzy z miejscowej ludności, rozpocząłem patrolowanie okolic Białowieży już opróżnionych przez Niemców, odbierając karabiny wszystkim napotykanym po drodze kłusownikom.

Pewnego dnia o zmierzchu wracałem z takiego patrolu do Białowieży od strony terpentyniarni. Przy domu, naprzeciwko wyjścia z tartaku „Stoczek", zatrzymało mnie większe zbiegowisko ludzi. Okazało się, że dwóch Niemców, przy pomocy miejscowych chłopów, z trudem ściągało z sanek tylko co upolo-

wanego żubra, starając się jaknajprędzej zaciągnąć go do szeroko otwartych drzwi tego domu. Nie mogąc w tym czasie odważyć się na grubszą awanturę z Niemcami, poprzestałem na zwymyślaniu ich i udałem się po interwencję do niemieckiej żandarmerji. Lecz tam oświadczono mi, że sami są teraz bezradni. Taki stan trwał do połowy grudnia 1918 r., kiedy ostatni eszelon niemiecki nareszcie opuścił dworzec Białowieski, po wręczeniu mi uprzednio kluczy od szafy z karabinami i amunicją dla straży obywatelskiej.

Zdałem sobie wtenczas sprawę, że z tak nikłemi siłami całej zwierzyny uratować nie zdołam i że wszystkie wysiłki skierować należy na obronę ludności cywilnej, która tłumnie zaczęła do Białowieży zjeżdżać z okolic, pod opiekę straży, uciekając od coraz to liczniejszych napadów bandyckich, jak również na obronę olbrzymich inwestycyj niemieckich w postaci znacznej ilości zakładów przemysłowych, rozsianych po puszczy i jej okolicach, oraz pałacu i budynków państwowych.



Przedwojenne zdjęcie obrazu z pałacu myśliwskiego w Białowieży — własność Autora.

Bezładna strzelanina w lesie tymczasem przybierała coraz większe rozmiary. Nadomiar nieszczęścia, już na początku grudnia wypadł obfity śnieg i świetna ponowa uwidoczniała, jak na kliszy fotograficznej, wszystkie ścieżki biednej zwierzyny. Zdawało się, że nie było dla niej żadnego ratunku. W największem niebezpieczeństwie okazały się żubry. Zwykłe trzymać się w stadach i mniej ruchliwe od innych zwierząt, stanowiły stosunkowo łatwą zdobycz dla kłusowników. Strzelano na chybił-trafił, nie przestrzegając ani elementarnych zasad łowieckich, ani odległości, przeważnie z tyłu, używając do tego zaostrzonych kul karabinów wojennych. Nic dziwnego, że kłusownicy po większej części zadawali zwierzynie tylko rany, nie troszcząc się potem o los ranionej zwierzyny. Dlatego też cała puszcza potem, kiedy już ukrócona została ta swawola, zasiana była jeszcze rozkładającemi się trupami zwierzyny. I jeszcze w maju 1919 r. znalazłem niedaleko drogi, prowadzącej z Białowieży do Browska, w miejscu, gdzie obecnie kończy się rezerwat, dwa trupy żubrów, nawpół zjedzonych przez dziki. Masowe zabijanie jeleni i sarn przez miejscową ludność można było wtedy wytłomaczyć sobie ogólnie panującym w tych miejscowościach głodem, oraz do pewnego stopnia atrakcją słodkiego owocu zakazanego. Zabijanie żubrów jednak należało przypisać już tylko zbrodniczym instynktom, zaszczepionym przez rewolucję bolszewicką, powracających z Rosji jednostek. Mięso żubrów bowiem jest twarde, niesmaczne i ciężko strawne. Posiada do tego wielką ilość grubych i niemożliwych do usunięcia żył, trudnych do przecięcia. Skóra zaś, nadmiernie gruba i trudna do wyprawienia domowym sposobem, nie nadaje się do użytku chłopskiego.

Jak tylko na to pozwalały okoliczności i czas, absorbujący prawie całą naszą energję na walkę z bandytyzmem, wyjeżdżaliśmy na patrole do lasu, używając do tego wielkich niemieckich, parokonnych sanek, w których swobodnie mogło się pomieścić 6 osób. Zamiarem moim wtedy było zlokalizować w miarę możności te eskapady kłusowników, teroryzując ich wszelkiemi sposobami. Wycieczki takie nie były też pozbawione pewnego niebezpieczeństwa, gdyż nieraz kule zabłąkane — i nietylko zabłąkane — gwizdały wzdłuż linij oddziałowych nad naszemi głowami, rykoszetując od gałęzi przydrożnych drzew. Przypominało nam to dobrze znaną muzykę z frontu. Puszcza przedstawiała w tych czasach widok okropny: pełno było śladów farbującej zwierzyny i często śladom tym towarzyszyły ślady łapci „szlachetnych nemrodów". Często spotykało się miejsca, gdzie wleczono i patroszono zwierzynę, pozostawiając wnętrzności na pożarcie lisom i dzikom. I tylko dziki, zdawałoby się, nic sobie nie robiły z tego pochodu wandalów. Całemi stadkami i pojedyńczo wałęsały się niedaleko dróg w poszukiwaniu tak obficie rozrzuconych „smakołyków", kpiąc sobie przytem najwyraźniej z fachowości strzeleckiej kłusowników.

Pewnego dnia zaalarmowany zostałem wiadomością, że chłopi niedaleko wsi Budy okrążyli stado żubrów i posłali po posiłki do pobliskich wiosek. Natychmiast udaliśmy się w te strony. Lecz zapóźno. Z licznych śladów łapci i butów można było wywnioskować, że przed paru zaledwie godzinami odbyło się tu polowanie w „kocioł". W centrum tego kotła zaś liczne ślady farbujących żubrów, oraz kilka miejsc szeroko wygniecionego krwawo-żółtego śniegu, świadczyły o tylko co dokonanych tu czynach wandali.

Innym razem, powracając z patrolu ze wsi Paszucka Buda, zauważyliśmy stado jeleni, wielkiemi susami uciekające przez drogę. Uświadomiliśmy sobie odrazu, że odbywa się tu polowanie. Parę minut wystarczyło, aby konie i sanki schować w świerczynie, ludzi zaś rozsypać wzdłuż linji oddziałowej i ukryć za grubemi sosnami. Wślad za zwierzyną z lasu po chwili wyłoniło się 2-ch drabów z karabinami w ręku. Przerażenie ich było niemałe, kiedy raptem usłyszeli okrzyk: „ręce do góry" i zobaczyli lufy 5 karabinów, skierowanych wieloznacząco do nich. To też bez sprzeciwu dali się rozbroić i obezwładnić.

Przerażona ciągłą strzelaniną zwierzyna zaczęła powoli uchodzić poza obręb puszczy, kryjąc się w zaro-

ślach sąsiadujących z puszczą, należących do włościan i ziemian lasów. To też w patrolach naszych zmuszeni byliśmy zataczać coraz szersze kręgi.

Mroźny zmierzch pewnego dnia zimowego zastał nas w pobliżu chutoru Czadziel. Raptem usłyszeliśmy gęstą strzelaninę i ujadanie psa w odległości 1 kilometra od nas. Pędem rzuciliśmy się w kierunku strzałów, aż nareszcie dotarliśmy do wielkiej, pokrytej śniegiem polany, na środku której w ciemności krzątało się kilkanaście sylwetek ludzkich. W kępie drzew zatrzymaliśmy konie i, formując naprędce tyraljerkę, wysypaliśmy na polanę, posuwając się w kierunku krzątających się ludzi. Tam odrazu zapanował gorączkowy ruch: huknął strzał jeden, drugi i wreszcie wywiązała się ożywiona strzelanina. W miarę naszego stopniowego zbliżania się, cienie ludzkie pierzchały gdzie który mógł, pozostawiając na śniegu jakiś większy ciemny przedmiot, jak przypuszczaliśmy swego zabitego lub ciężko rannego kolegę. Tymczasem ku wielkiemu naszemu zdumieniu przedmiotem tym okazał się kapitalny jeleń 10-tak i siedzący przy nim na straży pies kłusownika. Ponieważ był to pies kłusownika, padł od celnego strzału z rewolweru. Jelenia załadowano do sanek.

Zrobiło się już całkiem ciemno. Mróz tężał coraz więcej. Niezliczone gwiazdy zamigotały na czarnym całunie nieba. Ciszę nocną przerywało od czasu do czasu parskanie raźno posuwających się koni oraz gdzieś daleko odgłosy nawołującej się gromady wilków. Wtórowało im zaciekłe ujadanie psów z ukrytej gdzieś wioski. W takich chwilach przyroda zaczyna przemawiać do duszy człowieka, wywołując w jego umyśle różne refleksje. Przyszło mi na myśl nagle, że nic w przyrodzie nie wskazuje na to, iż w tym właśnie czasie zamyka się jeden z rozdziałów historji świata i zaczyna się nowa era dla ludzkości wielka i nieznana. Puszcza, wysoką czarną ścianą oddzielająca się od otaczających ją pól śnieżnych, leżała przed nami w zagadkowym poszumie. Wjeżdżając do lasu, spotkaliśmy furmankę chłopską, wiozącą jakiś ukryty przedmiot. Przy rewizji, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, okazał się tu drugi jeleń 10-tak, a przy nim ukryty mauzer myśliwski.

W styczniu 1919 r., po długich i mozolnych wysiłkach udało się nam nareszcie schwytać hersztów i 18 bandytów, likwidując tem samem 2 bandy, grasujące w okolicach puszczy i terozyzujące ludność, a szykujące się do napadu na samą Białowieżę. W akcji tej ze strony strażników zginął jeden, rozszarpany przez granat ręczny, rzucony przez bandytów, padając ofiarą dobrowolnie przyjętego na siebie obowiązku obywatelskiego (ś. p. Wiktor S m o k t u n o w i c z). Ze strony bandytów padło trzech i jeden został ranny. Okoliczność ta rozwiązała mi ręce w dalszej akcji tępienia kłusowników.

W połowie lutego 1919 r. nawiązałem kontakt z Wileńskim Oddziałem W. P. majora Dąbrowskiego, który w międzyczasie przyszedł do Prużan. Od niego otrzymałem odpowiednie pełnomocnictwo i przyrzeczenie pomocy w razie potrzeby. Wtedy to straż obywatelska białowieska już w imieniu Rządu Polskiego przystąpiła do ostatecznej pacyfikacji puszczy.

Przez czas działania straży odebrano od kłusowników i miejscowej ludności około 350 karabinów różnych systemów, które zostały częściowo przekazane komendantowi placu w Hajnówce, częściowo później nowoutworzonemu Starostwu w Prużanach.

W marcu 1919 r. doszły do mnie pogłoski, że pewien chłop z chutorów z okolic Chwojnika, z dwoma synami, zabił ostatniego, niedobitego do tego czasu żubra. Natychmiast wyruszyłem do wymienionego chutoru. Właściciel, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach, z początku wypierał się wszystkiego, przysięgając na wszystkie świętości i na zdrowie swych małych dzieci, że o niczem nie wie. Całe zachowanie się jego jednak wydało mi się podejrzane. Nakazałem skrupulatną rewizję. Cały chutor został przetrzęsiony do góry nogami, lecz bez rezultatu. Już chcieliśmy odjeżdżać, kiedy uprzytomniłem sobie, że chłop zdradzał pewne zdenerwowanie przy zbliżaniu się strażników do szopy, zawalonej aż po sufit drobno narąbanem drewnem do pieca. Postanowiłem wyrzucić to drewno, co zajęło nam dobrą godzinę czasu. Pod drewnem ukazały się: beczka mięsa, świeża skóra i czaszka ostatniego żubra w Białowieży. *Sic transit gloria mundi.*

Kiedy w końcu marca 1919 r. przybył do Białowieży pierwszy polski Zarząd puszczy, w osobach pp. Inspektora Dąbrowskiego, Nadleśniczego Bolesława Błażewicza (obecnie inspektor) i innych, udało się wprawdzie przekazać mu ocalone zakłady przemysłowe, pałac, budynki państwowe i 2 elektrownie w pełnym ruchu, lecz po żubrach pozostało tylko wspomnienie. Jeszcze długo potem krążyły pogłoski o pojedyńczych żubrach, rzekomo spotykanych przez ludność miejscową w różnych stronach puszczy, lecz po skrupulatnem sprawdzeniu wieści te okazały się kłamstwem.

Czteromiesięczne interregnum w Puszczy Białowieskiej tłomaczy się smutną okolicznością, że odgrodzona ona została od reszty Polski odchodzącem wojskiem niemieckiem z tak zw. „Oberostu" i tem samem wystawiona na łup zbliżającej się armji czerwonej. Ta ostatnia na szczęście została wstrzymana przez cofający się od Wilna oddział majora Dąbrowskiego, w 50-ciu kilometrach od puszczy.

Na zakończenie pozwolę sobie na małą dygresję, wspominając o smutnym epilogu, który rok później miał miejsce w Białowieży. Otóż, kiedy bolszewicy w 1920 roku wkroczyli do Białowieży, pierwszą ich czynnością było wyłapywanie byłych członków straży obywatelskiej, którzy w międzyczasie, ustępując miejsca policji, częściowo powrócili do swych zajęć domowych. W bestjalski sposób wtedy zostali szablami zrąbani: b. wachmistrz straży ś. p. Jefim M i e s z k i e w i c z i jeden strażnik ś. p. Bazyli R o g a c z e w s k i; trzeci zaś cudem uniknął ręki oprawców, przekupując eksportujących go czerwonogwardzistów (Stanisław G r i n c z e l). Cześć pamięci tych cichych bohaterów i uświadomionych obywateli, którzy polegli w obronie puszczy, jej ludności i jej zwierzostanu.

Obecnie, w perspektywie czasu, wydają się wyżej opisane wypadki mało prawdziwemi epizodami fantastycznej powieści. Lecz czyż życie każdego z nas ludzi wojny — nie było wtedy podobne do takiej właśnie powieści?

A te niezapomniane czasy, kiedy to podpisany, chłopakiem będąc, przemierzał puszczę na rowerze? Długo nieraz musiał czekać, póki stary żubr z drogi mu zejść raczy, lub kiedy to zmuszony był co tchu uciekać przed stadem pasących się przy drodze żubrów... Czyż nie wydają się teraz te chwile trudnym do zapomnienia, przepięknym snem, który się nigdy już nie powtórzy?...

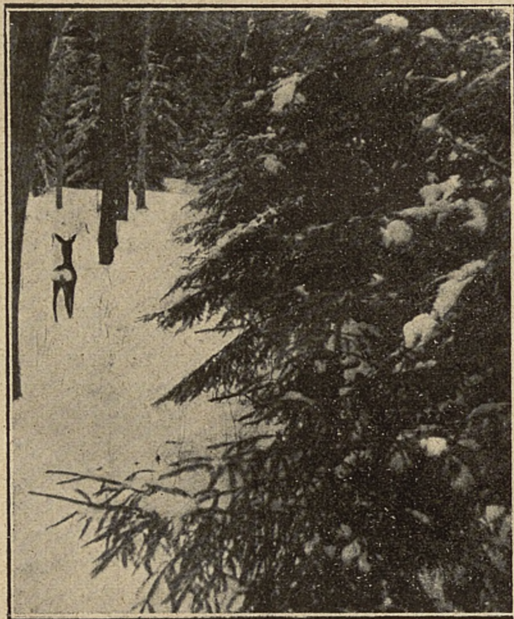
PAWEŁ BARK

ŻMIJA

Już od tygodnia pułkownik Dersławski „wydeptywał" ze swoim wiernym pieskiem Hektorem cietrzewie, dubelty, bekasy i kaczki w moczarach i brzeźniakach Polesia starego, delektując się rozkoszą świętego odpoczynku i obcowania z przyrodą.

Upał był piekielny w ten dzień sierpniowy. Nietylko sam pułkownik, ale nawet jego socjusz, typowy gajus poleski, Halimon Teterczuk, o nędznej bródce, kołtuniastych włosach, w grzywkę nad czołem obciętych, po kilometrach odmachanych w puchach mszarników — byli do gruntu „spracowani".

— No, Halimon, dziesiąta godzina trzeba zakąsić i zabastować... Urzniemy sobie „chrapaka" aż do jakiejś czwartej, a później hajda na wieczorne pole. Nawet „teteruki" pozałaziły w takie gąszcze, że sam czort ich nie wynajdzie — „sobaczka" też niech sobie „oddycha"...



— Tak, panoczku, ce wielmi prawda!... Zaraz dojdziemy do „suchoputja", do „ostrówka", na Tatarskij brodok. Tam aż dwa stogi siana, rozłożę „ogoniok" i sobi pan połkownyk wyciągnie się po „czajepiciu" i z parę godzin pośpi. Ja także przy drugiej „kopicy"...

Rozposzna kąpiel w bliskim kanale, coprawda z masą wpijających się w ciało dużych „końskich" pijawek, zawieszenie w chłodku całych pęków dzisiejszych trofeów na nędznej, obok rosnącej brzózce, wypicie rzetelnych kilku kieliszków wódki, kilku szklanek ze smakiem „wysmoktanej" herbatki — i Dersławski ze swoim kompanem, rozciągnąwszy się na miękkich posłaniach z siana, pogrążyli się w nirwanę snu. Hektor na uboczu chrapał też w najlepsze.

Na skutek piekielnego upału pułkownik zdjął nawet koszulę i tylko w „hajdawerach", rozzuwszy się z łapci (chodaków) łykowych, zasnął snem błogosławionym... Rzęsisty pot oblewał całe ciało sfatygowane. Raptem, we śnie wyraźnie odczuwa Dersławski, jak coś zimnośliskiego „spaceruje" na obnażonej jego piersi.

— Eh, iluzja, mara jakaś — myśli sobie i oczu nawet nie otworzył! Ale perygrynacje tego „czegoś" stają się coraz żwawsze...

Pułkownik nareszcie otwiera swe oczy i nagle ogarnia go uczucie zgrozy!... Widzi, jak autentyczna „hadiuka", żmija „wywija" sobie wnajlepsze po doczesnem jego indywiduum. Błyskawicznie „kapuje", że najmniejszy ruch jego sprowokuje ukąszenie! Kolosalnym wysiłkiem woli nie rusza się. Leży, jak głaz, przekonany, że niebezpieczny intruz wkrótce opuści niesamowity teren! Lecz pisz na Berdyczów! Wstrętny płaz powoli zwija się w kłębek i wnajlepsze dalej zażywa sładkiego „dolce far niente".

Upływa kilka minut... Jeśli tylko Halimon obudzi się — zerwie się na nogi — będzie starał się zrzucić płaza! I oto ukąszenie murowane. A jeszcze akurat pod samo serce, gdyż głową jest zwrócony do pseudo-uśpionego.

Można sobie wyobrazić, co przeżyła, jaki koszmar przecierpiała ofiara! Żelazna siła woli wytrzymała!... Po paru dobrych minutach żmija „namyśliła się"!... Powoli, powoli — kłębek się rozwija! Tylko co dalej będzie?... A nuż wsunie się w jeszcze zaciszniejsze, intymne zakamarki jego drelichowych spodni?...

O radości — nie!... spełza z jego piersi, kierując się w trawy! Z bijącem, jak młot, biednem sercem, zezując półotwartem lewem okiem, Dersławski dopilnował odległości należytej. Kiedy stała się taką, że o „skoku" żmii nawet mowy być nie mogło...

— Halimon! Halimon! bywaj! hadiuka!...

Poleszuk już jest przy jego boku. Dopędzają, uzbrojeni w długie wierzbowe kije, małego potworka! Łatwo sobie wyobrazić „furję" ich ataku... Moment i z jadowitej żmii pozostały jeno strzępy!

— Nu, nu, panoczku, Boh „spas" (uratował), bo ce ne „prostyj uż" (wąż, zaskroniec), w chatach poleskich w norach zamieszkały, który do mleka postawionego w misce na glinobitej podłodze dla „bachorów" — sycząc wyłazi — a „dity" joho derewjanymi łożkami bjut (biją) i od mołoka odpędzają. Ale panoczek małodeć (zuch), a szcze „horodskij" (miastowy)... „Na wełykoj wijni buwało „hirsze" (gorzej).

— Polski pułkownik nie może być „flejtuchem", winien ostro obserwować wszystko... być zawsze „na czeku" (na pogotowiu).

— Tak, panoczku, spasybi (dziękuję) — i zanim Dersławski się opanował „cmok" go w rękę!...

— Czy skazywsia! (zwarjowałeś stary) — odskoczył też jakby naprawdę od ukąszenia „hadiuki" — nasz pułkownik.

— To panoczku, od szczyroho sercia (szczerego serca)... prostyte (wybaczcie) staryka!

— Dobra... a teraz marsz!... jeszcze dużo roboty — cały wieczór przed nami!

Wkrótce w aromatach traw, bahunów i kwiecia, wśród rozpalonego eteru Dersławski, Halimon i Hektor, z pękami już zdobytej zwierzyny, polowali do zmroku ku większej glorji św. Huberta!

Oh! — te żmije! — te żmije!

ADAM RZEWUSKI.

SZKODY DZICZE

Odszkodowania za wyrządzane szkody przez dziki w plonach rolnych zmuszają hodowców myśliwych do szukania sposobów zapobiegania tym szkodom. Wszystkie rady, jakie dotychczas były zalecane, zdaniem mojem, nie rozwiązują ostatecznie tej kwestji. Kto chce mieć w swojem łowisku w większej ilości dziki, musi być przygotowanym na znaczne wydatki pieniężne za szkody dzicze.

Jedynym sposobem zabezpieczenia się od tych szkód byłoby ogrodzenie łowiska i to ogrodzenie musiałoby być masywne i gęste, to znaczy przynajmniej w 5 żerdzi, gęściej u dołu, a rzadziej u góry przybitych. Słupy należałoby dać w bliskiej od siebie odległości, to znaczy do 3-ch metrów. Płot o rzadko przybitych żerdziach i o większej odległości słupów nie stanowi przeszkody dla dzika, gdyż dzik pomiędzy takiemi żerdziami z łatwością przechodzi, wyginając je swoim tułowiem. Takie jednak ogrodzenie byłoby bardzo kosztowne, a łowisko siłą rzeczy stałoby się poniekąd zamkniętym zwierzyńcem.

Wszystkie inne sposoby byłyby tylko półśrodkami i to na krótką metę. Dzik należy do zwierzyny, która lubi wędrówkę i wychodzi z łowiska na sąsiednie pola niekoniecznie tylko po dojrzałe ziarno lub kartofle. Dla jakich celów to robią, niewiadomo, w każdym bądź razie jest to fakt, że dziki, najintensywniej podkarmiane i mając pożywienie w pobliżu, zapuszczają się o kilka, a nawet kilkanaście kilometrów na obce tereny, skąd po pewnym czasie wracają, albo i nie.

Miałem takie wypadki i u siebie, że dziki bez żadnych powodów częściowo wychodziły z łowiska, a nawet przepływały cały Bug w czasie płynięcia kry i bawiły gdzieś nieraz czas dłuższy, a później wracały z powrotem. Nie mogło tu być mowy o głodzie, gdyż dziki miały karmy poddostatkiem i to różnorodnej.

Szkody wyrządzane przez dziki możnaby było poniekąd ograniczyć przez zakładanie w większej ilości pólek po lesie, jednak na ten cel należałoby przeznaczyć większą powierzchnię i pólka takie obsiewać różnemi zbożami i okopowizną. Powierzchni takich w dobrze zagospodarowanym lesie być nie może, a specjalnie wylesiać na ten cel mógłby tylko prywatny właściciel, gdyż w lasach państwowych takie wylesianie byłoby niedopuszczalne. Pozostawałyby tylko stare szkółki leśne, no i niektóre linje oddziałowe, ale co zrobić, jeżeli w lesie są praktykowane wypasy inwentarza? Należałoby wszystkie pólka i obsiane linje grodzić, a to znowu duży koszt.

W Nr. 1 „Łowca Polskiego" z roku bieżącego p. inż. T. Śliwiński w art. „Jelenie w Puszczy Iłżeckiej" podsuwa myśl, w celu zapobieżenia wychodzenia dzików z lasu, wybudowania radjowej stacji nadawczej i zainstalowanie przy polach megafonów. Nie chcę poruszać kosztów budowy takiej stacji, gdyż na tych rzeczach się nie znam, ale zato z całą stanowczością twierdzę, że nie osiągnęłoby to celu. Jeżeli dzik poniekąd boi się w dzień, to w nocy z nikogo i z niczego nic sobie nie robi, a nawet jest agresywny. Jako dowód przytoczę parę faktów.

Chłop kolonista miał pod lasem ładną pszenicę, o której dowiedziały się dziki. Widząc szkodę, chłop postanowił pilnować swego plonu do czasu zbioru i w tym celu, zabrawszy psa, wyruszył na noc do pszenicy.

Ułożył się obok swego zagona, a psa uczepił do wbitego w ziemię kołka. Po całodziennej ciężkiej pracy usnął, a kiedy się obudził, psa nie było, a dziki pszenicę zjadły.

Jak się okazało, pies, zaatakowany przez dziki, ze strachu urwał się i uciekł, a dziki nic sobie nie robiły z chrapania chłopa i o kilkanaście metrów od niego żerowały.



Z polowań Wojsk. Tow. Łow. w Bronnej Górze.
Fot. W. Makowski.

Na następną noc chłop wsiadł na konia i pojechał dziki wyganiać z pszenicy. Kiedy podjechał do swego łanu, w pszenicy panowała cisza, a chcąc się przekonać, czy dziki już były, wjechał do środka. Okazało się, że dziki przyczaiły się, a z chwilą kiedy on wjechał w środek stada, locha zaatakowała konia, koń się spłoszył, rzucił się w bok, chłop z konia spadł, no i mocno się przestraszył. Nie było innej rady, jak przyśpieszyć żniwo. A teraz drugi fakt:

Przy gajówcę w lesie dziki przychodziły w kartofle gajowego. Żerowanie dzików było dobrze słychać z ganku gajówki, a pies na łańcuchu zawzięcie szczekał i rwał się do dzików. Gajowy, chcąc dziki odstraszyć, psa odczepił i dziki poszczuł, pies rzucił się do nich, ale jak niepyszny zmiatał do budy, a za nim goniła locha i tylko interwencja gajowego zmusiła ją do odwrotu.

Niektórzy gospodarze roznieciają ogniska na polach przy plonach i to pomaga, ale nie przeszkadza dzikom żerować o kilkadziesiąt metrów obok, gdzie ognisko się nie pali.

Wracałem kiedyś z wyżłem wieczorem do domu torem kolejkowym, przez gęsty zagajnik. Pies od czasu do czasu wpadał do zagajnika, jak zwykle, przez cie-

kawość zapewne. W pewnym momencie słyszę szczekanie psa o kilka metrów od kolejki, w zagajniku, zatrzymałem się więc. Pies wypadł z zagajnika i przypadł mi do nóg, a za nim wyjeżdża dzik — zobaczył mnie i stanął, fuknął głośno, zawrócił powoli z powrotem w zagajnik. Kiedy zacząłem iść w dalszym ciągu, dzik posuwał się równolegle ze mną zagajnikiem, fukając i sapiąc groźnie. Prowadził mnie do mostu nad rzeczułką, gdzie się zatrzymał, ale dłuższy czas było go słychać, nie mógł się uspokoić, a mój wyżeł stracił chęć do zaglądania do zagajnika.

Wracając do pomysłu megafonów, jestem przekonany, że dziki szybko przyzwyczaiłyby się do nich, gdyż oprócz słuchu i wzroku, dzik posiada doskonały węch, no i rozum.

Jedynym sposobem zmniejszenia wydatków na odszkodowanie za szkody dzicze byłoby ograniczenie przyrostu zwierzostanu dziczego w łowisku przez odstrzał, ale na opłacanie szkód trzeba zawsze mieć rezerwę gotówkową.

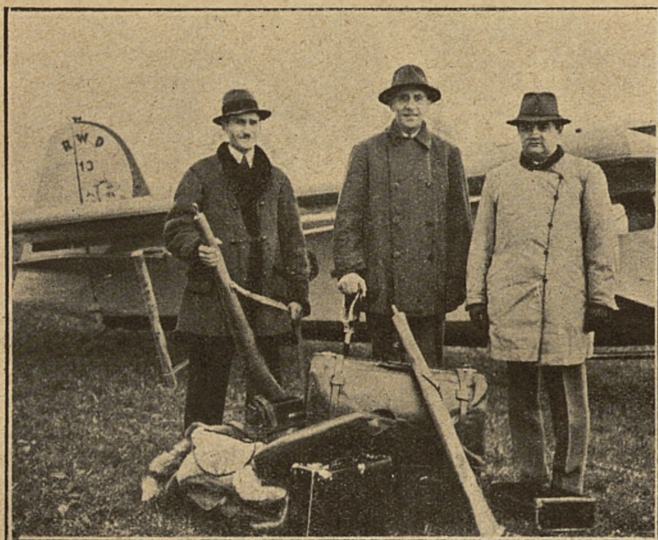
Sama procedura ustalania wysokości odszkodowań i rozmiarów szkód wyrządzonych przez zwierzynę jest dość trudną i bije przeważnie po kieszeni hodowcę myśliwego, gdyż brak jest przejrzystej instrukcji w tej sprawie, która dałaby możność sądom rozjemczym do spraw łowieckich szybkiego i sprawiedliwego zlikwidowania pretensji. Ta sprawa wymaga jakiegoś ustawowego rozwiązania.

ST. RUSSEL.

Z PUSZCZY RUDNICKIEJ

ROZWAŻANIA TURYSTYCZNO - MYŚLIWSKIE

W r. 1937 latem powstał przy Lidze Popierania Turystyki, referat łowiecki. Wytyczne działalności tej nowej placówki zostały opracowane łącznie przez przedstawicieli Ministerstwa Komunikacji, Ligi P. T., Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych i Polskiego Związku Łowieckiego. Zajęły się więc rozwiązaniem nader ważnej kwestji uregulowania turystyki myśliwskiej instytucje najbardziej miarodajne i zagadnieniem tem zainteresowane.



Aeroplanem na polowanie! Przylot do Chrząstowa. Od prawej gospodarz, Hr. Paweł Potocki, pośrodku Hr. Stanisław Zamoyski.

Innemi słowy zdecydowano się wyjść z chaosu i bezplanowości działania w narzucającej się siłą faktów konieczności przyjmowania turystów zagranicznych, dla których główną, jeśli nie jedyną, atrakcją w nieznanej Polsce, stanowi polowanie na „egzotyczną" zwierzynę.

Nic dziwnego: ryś, wilk, niedźwiedź, łoś, głuszec, bielak, pardwa — to dla bardzo wielu myśliwych zachodu zwierzyna najzupełniej nieznana, o której posiadają jedynie wiadomości z dzieł przyrodniczych, lub ze wspomnień literackich w rodzaju książki Pierre Coche'a. I nietylko to; wszak także jeleń i dzik, a nawet rogacz polski musi wzbudzać żywsze zainteresowanie wśród myśliwych zachodnich po obejrzeniu przez nich naszych rekordowych trofeów na wystawie międzynarodowej łowieckiej w 1937 r. A zainteresowanie to po naszym wielkim sukcesie w Berlinie stało się bezwarunkowo olbrzymie.

To też dobrze, bardzo dobrze się stało, że jednocześnie poczęliśmy się planowo i fachowo przygotowywać, ażeby wyjść z poprzedniej dorywczości, rozdrabniania sił i możliwości, a przedewszystkiem żeby usunąć błąkanie się pragnącego odwiedzić Polskę zagranicznego myśliwego od instytucji do instytucji, od agencji do agencji. Wreszcie może najważniejszą korzyścią z planowego zajęcia się organizacją turystyki myśliwskiej jest usuwanie tą drogą szkodliwych dla propagandy naszego łowiectwa — ba, dla propagandy całego kraju — nieudanych imprez w tej dziedzinie organizowanych poomacku i urządzanych w terenie przez ludzi zupełnie niefachowych, lub luźno zupełnie z łowiectwem związanych.

Jeśli chodzi o wyciągnięcie gospodarczych korzyści ze zwierzostanów, z pewnego ich nadmiaru, czy nawet tylko ze zgóry przewidzianego normalnego dorocznego odstrzału, będącego koniecznością danego łowiska pod kątem widzenia racjonalnego planu hodowlanego — jasnem jest, że drogą sprzedaży odstrzałów cele te mogą być równolegle osiągnięte.

Lecz, aby to stać się mogło, musi właściciel łowiska dobrze wypełniać swe obowiązki hodowlane, z drugiej zaś strony odpowiednia placówka powinna umieć wzbudzić zainteresowanie temi odstrzałami u tych myśliwych, którzy ich poszukują i zasłużyć na pełne ich zaufanie.

Pod tym względem referat łowiecki Ligi Popierania Turystyki, który rozwijać musiał swą akcję od podstaw i ściśle według nakreślonego zgóry planu zdał już parokrotnie swój egzamin i, jeśli chodzi o zagranicznych myśliwych-turystów, czy też obcokrajowców zamieszkałych czasowo w Polsce, przekonał swą „klijentelę", że jest ona „obsłużona" pod każdym względem należycie.

Jedną z kolejnych imprez tego rodzaju, przeprowadzonych na większą skalę przez referat łowiecki

Ligi P. T., już w roku bieżącym, było polowanie, urządzone w Puszczy Rudnickiej przez Dyrekcję L. P. w Wilnie, która za pośrednictwem referatu sprzedała odstrzał grubej zwierzyny grupie myśliwych Holendrów. O tem polowaniu, jako o wzorowo ujętej realizacji turystyki myśliwskiej, chciałbym parę słów powiedzieć, by tych, którzy mają dotąd jakieś wątpliwości co do szans udawania się podobnych przedsięwzięć, przekonać, że odpowiednio urządzone łowisko i umiejętne przeprowadzenie organizacji stanowi jedynie o powodzeniu turystyki myśliwskiej, która — nie trzeba szeroko dowodzić — jest ze wszech miar czynnikiem dla naszej gospodarki łowieckiej i ogólnej pożądanym i cennym.

*

W początku stycznia r. b. dowiedziałem się od kierownika referatu łowieckiego L. P. T., że około 20-go tegoż miesiąca przyjeżdża do Polski grupa Holendrów, dziewięć strzelb, z pośród arystokracji i finansjery tego kraju. Jednocześnie zostałem zaproszony w charakterze uczestnika na końcowe dwa dni polowań, które trwać miały cały tydzień, w celu osobistego przekonania się o wartości organizacji, a także wysłuchania opinji zagranicznych myśliwych o polskiej kniei oraz zanotowania ich wrażeń.

Gdy zbliżał się termin, a pogoda zaczynała się psuć, ustały prawie zupełnie mrozy, a pokrywa śniegu znikała w zastraszający sposób, zapytałem czy jednak w tych warunkach nie nastąpi odwołanie, lub przestawienie umówionej daty przyjazdu gości, boć rozumiałem jak ważnym warunkiem udania się polowania jest śnieg i pogoda mroźna.

Kierownik referatu łowieckiego — sam bardzo zaniepokojony — oznajmił mi jednak, że przyjazdu gości odwołać już nie sposób i trzeba, niestety, ponieść to fatalne ryzyko, zapewniając gościom pod każdym względem maksimum sprawności organizacyjnej.



Z kniei Gościeradowskiej. Fot. P. Kozłowski.

Przed samym wyjazdem do Puszczy Rudnickiej dowiedziałem się, że pierwsze kilka dni polowania, pomimo braku śniegu, wypadły zupełnie zadowalająco, że dziki goście mają w każdym miocie, że strzelają do nich i do innej zwierzyny nie bez powodzenia, że zatem nie należy narzekać.

Do Sędkowa, gdzie zostało zainstalowane na pobyt całe towarzystwo gości, razem 12 osób, gdyż przyjechały z myśliwymi także trzy panie, przyjechałem wieczorem i przy stole poznałem wszystkich uczestników. Odrazu ucieszył mnie ich wesoły nastrój i niekończące się opowiadania o ostatnich przeżyciach na stanowiskach w kniei. Coprawda dwóch było nieco „przygaszonych", gdyż nie mieli szczęścia, a boleć ich również musiały własne niefortunne strzały.



Pani Hanna Sokołowska z ubitym przez siebie wilkiem.

Zato jeden z nich unosił się nad wspaniałym widokiem, jaki mu przyniosła polska knieja. Oto zdarzyło się, iż dwa rysie, które sprowadzone zostały do Puszczy Rudnickiej w celu rozmnożenia tam tych drapieżców, wyszły na bliski strzał na dwóch myśliwych. Ów niefortunny strzelec do dzików miał dużego rysia o 10 kroków i mógł mu się doskonale przyjrzeć. Mówił, że jest oczarowany pięknością zwierzęcia na tle jego ostoi i że wcale nie żal mu, że nie był to zwierz przeznaczony do odstrzału. Z całem zadowoleniem opowiadał mi o tem, powracając do opisu świetnego obrazu po kilkakroć.

W Sędkowie było gwarno i pełno, ale miejsca starczyło dla wszystkich, a wszakże było prócz gości jeszcze cztery osoby: prowadzący polowanie p. Włodzimierz Korsak, miejscowy nadleśniczy p. Sikorski, kierownik referatu p. Jakób Chomętowski i ja.

Już tego wieczoru przekonałem jak doskonale postawiona jest organizacja domowa — pomieszczeń, posiłków i usługi — następnych dwóch dni polowania miałem się naocznie przekonać o świetnej, fachowo przeprowadzonej organizacji samego polowania.

Naganki było sto kilkadziesiąt ludzi, odpowiednia ilość wygodnych furek na płozach, przewożących nas do góry ustalonych ostępów dziczych. Służby leśnej było także poddostatkiem, więc „huczki" chodzili bardzo sprawnie, kierowani umiejętną ręką leśniczych i dziesiętników gajowych.

Wszystkie szło jak z płatka, a grunt, że nie zawo-

dziła zwierzyna, której było sporo i tylko nielicznym sztukom udawało się nie wyjść na linję myśliwych.



„Trefl", wł. dyr. Błaszczekowica. Fot. R. Troszok

Przez dwa dni byłem uczestnikiem siedmiu miotów i tylko w jednym nie było dzików? Naogół jednak nie strzelano zbyt dobrze i sam byłem świadkiem pudeł sąsiadów do różnej zwierzyny. W każdym jednak razie rezultat okazał się zupełnie dobry w tym warunkach, jakie towarzyszyły polowaniu, zwłaszcza pod względem niemożności tropienia, gdyż śniegu było zbyt skąpo i knieja w wielu miejscach „świeciła" zupełnie czarną stopą.

Ogólny rezultat wypadł: 18 dzików, 5 kozłów, 7 lisów, kilkanaście bielaków oraz po kilka szaraków i jarząbków. Wśród gości nie wszyscy byli wytrawnymi myśliwymi, ale najdoświadczeńsi sami wyrażali pogląd, że gdyby śnieg nie wypłatał figla, rezultat byłby z całą pewnością — co do dzików — podwójny. Rozumieli jednak, że pod tym względem organizatorzy są bezsilni, a żal należy kierować do... sił wyższych.

Zarówno przy ognisku w kniei, gdzie podawano śniadanie na polowaniu, jak wieczorem w domu myśliwskim, za stołem biesiadnym, naogół panował humor i głębokie zadowolenie gości z całego przyjęcia — w kniei i pod dachem — wyrażało się w częstych zapewnieniach, wszystkich nas zainteresowanych, że niema ani cienia czegoś, coby psuło dobry nastrój, lub mogło wywołać krytykę. Pod tym względem organizatorzy nie mogą narzekać, spotkali się z ogólną całego towarzystwa szczerą wdzięcznością, niejednokrotnie wyrażaną. To też zarówno p. Korsak, jak Dyrekcja L. P. w Wilnie mogą być prawdziwie dumni z udanej imprezy turystycznej, zorganizowanej również właściwie przez referat łowiecki Ligi.

Goście wywozili zachwyt z powodu dni w polskiej kniei spędzonych, wywozili liczne trofea, nad których przygotowaniem pracował przez szereg dni preparator z Wilna, pamięć wygodnego pobytu, świetnie zorganizowanego we wszystkch także szczegółach gospodarskich, no i co najważniejsze, pozostawili u nas szczerą swoją wdzięczność i obietnicę powrotu do Polski.

Nie dopisały tylko wilki. Już — już zdawało się, że może św. Hubert okaże się łaskaw, gdyż przedostatniej nocy wypadł spory śnieg, ale kilkogodzinne poszukiwanie tropów w kilku ostępach, gdzie wilki zwykły zalegać, nie dały, niestety, rezultatu.

W każdym razie czuję się w obowiązku zaznaczyć, że organizacja polowania i gospodarcza stała na wysokości zadania i nie mogła w niczem przynieść ujmy naszym łowiskom, ani personelowi wykonawczemu.

Polowanie to, pomimo pewnych przeciwności natury niezależnej od ludzi, dało również świadectwo umiejętności kierownictwa referatem łowieckim L. P. T., który ma tak trudne i odpowiedzialne zadanie.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.



CECHOWANIE BRONI

BROŃ ANGIELSKA

Anglja ma najstarszą, najpiękniejszą i najbardziej ciągłą tradycję wyrobu broni.

Złożyły się na to następujące powody: najlepsze w świecie surowce, niezastąpione i po dziś dzień, dostarczane przez przemysł angielski; sumienny i pracowity — chociaż bardzo drogi — robotnik angielski, prawdziwy mistrz w swym fachu, oraz długie i wszechstronne doświadczenie w wyrobie broni.

Angielski przemysł broniowy, dzięki swym kolonjom zamorskim, położonym w rozmaitych szerokościach geograficznych i posiadającym najrozmaitszy zwierzostan, od najdrobniejszej zwierzyny do najgrubszej — mógł od bardzo dawna opracować i udoskonalić najrozmaitsze typy broni.

Broń angielska spotykana na rynku polskim, tak kulowa jak i śrutowa, z małemi wyjątkami, należy do broni najwyższej klasy. W wyrobie tych broni trzymają się Anglicy tradycyjnie typu, który posiada dwie lufy równoległe, jedna obok drugiej, czyli t. zw. sztucery dubeltowe i dubeltówki.

Bronie kulowe angielskie do dziś dnia są wykonywane w myśl zasady hołdującej dużemu kalibrowi i małej względnie szybkości początkowej, w przeciwieństwie do broni wykonywanych w Ameryce i Niemczech.

Sztucery angielskie dzierżą teraz pierwsze miejsce pod względem wielkości kalibru.

Dubeltówki najwyższej klasy, w których fabrykacji Anglicy doszli do prawdziwego mistrzostwa, są fabrykowane parami lub też pojedyńczo. Broń wypuszczana parami jest obecnie najcelniejszą i niezawodną w działaniu na polowaniach, wymagających wielkiej ilości strzałów. Broń fabrykowana pojedyńczo nadaje się do wszelkich innych polowań, przy których używa się broni śrutowej.

W innych rodzajach broni myśliwskiej, jak to: broń śrutowa samoczynna, broń śrutowa półsamoczynna, broń kulowa samoczynna i półsamoczynna, o dużych i małych kalibrach, nie jest Anglja na naszym rynku reprezentowana. Sporadycznie spotkać można coprawda okazyjną broń myśliwską innych typów, niż dubeltówki i sztucery dubeltowe wyrobu angielskiego — są to jednak rzadkie wypadki.

Do najbardziej znanych angielskich wytwórni broni należą następujące: J. Purdey Ltd. London, Holland & Holland London, Westley Richards London i Vickers Ltd. London.

Trzy pierwsze wytwórnie wykonują przeważnie broń na zamówienie, a na składzie gotowych broni nie mają, chyba jakąś okazyjną. Cena takiej broni, wykonanej na zamówienie, jest ogromnie wysoka, przyczem najdrobniejsze ulepszenia lub upiększenia zwiększają jeszcze jej koszt. Cenę dubeltówek tych zwiększają również lufy, jeżeli są wykonane ze słynnej stali Whitwortha.

Vickers Ltd. London wypuścił kilka lat temu dubeltówki dla nabojów long (70 mm) i superlong (75 mm). Bronie te były stosunkowo tanie, jak na broń angielską. Zyskały one sobie zupełnie dobrą opinję, lecz wkrótce znikły zupełnie z rynku, ze względu na to, że firma Vickers Ltd. London otrzymała ogromne zamówienia wojskowe.

Anglja posiada dwa prywatne zakłady dla przystrzeliwania broni:

1. Gunmakers Company — w Londynie,
2. Proof House — w Birminghamie.

Bronie przystrzeliwane w zakładzie londyńskim noszą następujące cechy:

1. — pierwsze przystrzeliwanie broni
2. V — drugie przystrzeliwanie broni
3. 12 C — kaliber broni (dla broni śrutowej). Cyfra po kalibrze oznacza długość komory nabojowej w calach angielskich, np. 3 1/4″
4. Choke — czok
5. 12 12/1 — dokładnie podany kaliber (dla broni śrutowej)
6. 577 Ex — kaliber dla sztucerów
7. NP PN — przystrzeliwanie broni prochem bezdymnym (NP—Nitro proof). Cyfra po NP oznacza jak wzmocnionym ładunkiem próbowano lufę, np. 1 1/2 — oznacza ładunek wzmocniony półtora raza.

Bronie przystrzeliwane w zakładzie birminghamskim noszą następujące cechy:

8. — pierwsze przystrzeliwanie broni
9. BP — drugie przystrzeliwanie broni
10. BV — drugie przystrzeliwanie broni
11. — cecha na broniach jednolufowych

Cechowanie kalibrów oraz próby przystrzeliwania prochem bezdymnym (NP z koroną nad znakiem) identyczne, jak w cechowaniu londyńskiem.

Rysunki cech 4, 5, 6, 7, 9, 10 — są dwukrotnie powiększone dla większej wyrazistości.

Wyżej podane cechy na broni mogą częstokroć nie być zbyt wyraźnemi, ze względu na to, że są one tłoczone w stali, zwykle na lufach pod komorą nabojową, na baskili i t. p.

Broń angielska, tak kulowa jak i śrutowa, jest budowana specjalnie dla angielskiej amunicji, która jest ładowana angielskim prochem, przeważnie wolno spalającym się. Chcąc otrzymać maksymalne strzały z tej broni, należy używać albo oryginalną amunicję angielską, z której najbardziej znana wyrabiana jest przez fabrykę Eleya, albo też krajową, ładowaną prochem wolno spalającym się, podobnym do angielskiego.

(C. d. n.).

BROCHWICZ.

W SPRAWIE WYŻŁÓW DOWODNYCH

Urządzenie konkursu wyżłów ma za cel pokazanie myśliwym sprawności kandydata, nadającego się na wszechstronne polowanie, jak również ma wskazać hodowcom dobry materjał hodowlany.

Konkurs taki spełnia swoje zadanie, o ile organizatorzy, sędziowie i menerzy przystąpią do pracy konkursowej ze znajomością rzeczy.

Jeśli jednak jedna z tych grup zawiedzie, konkurs taki zgóry jest skazany na niepowodzenie i szkoda natenczas kosztów wszelkich, czasu i różnych zabiegów.

W jesieni roku ubiegłego urządzono konkurs wyżłów dowodnych w Niedźwiedziu na Pomorzu, jak to pisze dr. inż. Ossowski (Nr. 10 „Myśliwego" z roku 1938), chociaż „organizatorowie wiedzieli w zupełności i zdawali sobie sprawę, że urządzenie tego konkursu napotka na znaczne trudności, choćby już z uwagi na nieznajomość szczegółów organizacyjnych, na dobór materjału i t. p." Nie odwołano tego konkursu, lecz za nieudanie się go winę zepchnięto na barki menerów.



Fot. R. Lubomirski.

Przypatrzmy się jednak bliżej — i bądźmy bezstronni — jak ten konkurs przeprowadzono.

Po dość dużem zareklamowaniu go w „Myśliwym" należało się spodziewać, że stanie do konkursu przynajmniej 12 dobrych wyżłów. Ile zgłoszono, nie wiem — dr. inż. Ossowski też nic o tem nie wspomina — dość, że zgłosiło się 9 kandydatów, w tem 2 do klasy młodzieży.

Pomimo, że zrana padał obfity deszcz, przy tej ilości sędziów (ca 10-ciu) można było konkurs śmiało w jednym dniu ukończyć, lecz skoro nie było programu pracy, to oczywiste, że taki konkurs nie mógł się udać.

A jak przedstawiał się w poszczególnych działach pracy? Woda za stodołą, gdzie nie było dzikich kaczek, a gnieździła się w trzcinie masa kur domowych, do publicznego konkursu asbolutnie się nie nadawała. Nic dziwnego też, że za kaczkami domowemi, rzucanemi na staw, psy bez zwietrzenia ich nie chciały — poza jednostkami — pracować w wodzie. I tak „Iwan" p. Raszkego, który bardzo dobrze bobruje za kaczkami, zupełnie nie dał się nakłonić, by pójść do wody. Regulamin przecież wyraźnie mówi, że do pracy wodnej należy używać dzikich kaczek, którym się lotki krótko przycina. Nie wina więc tu psów ani menerów.

A teraz dalej, jak było z pracą w ciętości? Dr. inż. Ossowski pisze, że „praca ta szwankowała najbardziej i jest ona słabą stroną konkursu wyżłów dowodnych". Dział ten uważam za przestarzały i należy go czemprędzej zreformować. Dlaczego? Po pierwsze, że nie da się pogodzić z estetyką łowiectwa naszego, po drugie takie egzekucje drapieżników robią tylko złe wrażenie na widzach (a było ich dosyć dużo). Cenzurowanie zaś ciętości danego kandydata musi dla sędziów wystarczyć ze złożonego zaświadczenia pisemnego 2-ch wiarogodnych świadków myśliwych, że kandydat dławi lub osadza, albo też nie jest wcale cięty. Mojem zdaniem — praca w ciętości dlatego coraz więcej szwankuje, że hodowcy już dzisiaj nie przywiązują tak wielkiej wagi do dławienia drapieżników, a uważają więcej na dobry wiatr, dobrą budowę psa, wytrzymałość w chodach, dobre i piękne uwłosienie i t. d.

Pies taki musi mieć również wygląd estetyczny i przyjemny dla oka myśliwego, a nie może mieć wyglądu, jak „podrasowana krowa". Pies inteligentny, widząc drapieżnika, wystawi go, jak inną zwierzynę i da możność myśliwemu ubicia go. Do takiej klasy psów należy nam dzisiaj dążyć, bo sto razy lepszy i pożyteczniejszy jest taki pies, który cały dzień w galopie pole okłada i zrobi swoje jeszcze w lesie i w wodzie, niż cymbał cięty, lecz ciężki, z długim włosem, który po pół godzinie pracy w polu się położy, a myśliwemu wypadnie samemu dalej polować.

Dział ciętości nie jest tak ważny i idealny dla dobrego myśliwego, wystarczy gdy pies osadzi, a jeszcze milszem jest, gdy wystawi bez hałasu w łowisku, gdzie spokój jest bardzo pożądany, jak to „Ira" zrobiła. U suczki tej widać wrodzoną inteligencję i przy tak dobrej budowie rokuje najlepsze nadzieje na przyszłość, tem więcej, że jest w rękach dobrego hodowcy i menera, i jeśli się ją połączy z „Castorem" — własność p. Kocikowskiego z Jacewa (a nie jak mylnie podano w „Myśliwym" Krukierskiego), to potomstwo takie napewno będzie pełnowartościowe.

Nie mogę również przemilczeć pracy za farbą, gdyż wyżeł legawiec nie jest specjalistą w tym dziale pracy i należałoby sobie życzyć, żeby posokowcom poświęcić więcej czasu i uwagi. Myśliwi, którzy posiadają w swych łowiskach szlachetną zwierzynę, powinni sami we własnym interesie (nie czekając, aż ich ustawa do tego zmusi, jak na Zachodzie) posiadać takiego specjalistę. Dla zapoznania się z opisem tego psa odsyłam interesujących się do Nr. 16 i 18 „Łowca Polskiego" z 1935 r.

Gdy w praktyce naszemu psu taka praca przypad-

nie w udziale, to jesteśmy mu bardzo wdzięczni za odszukanie postrzałka, bo dla dobrego myśliwego i hodowcy znaczy to bardzo wiele. Posługując się więc takim psem, zachodzi w praktyce bardzo często, że przez trop sfarbowany przebiegnie inna zwierzyna i, rzecz oczywista, pies na taki świeży trop zareaguje. Wtenczas myśliwy robi z psem koło i znów go wprowadza na trop właściwy, i w ten sposób odszuka swego postrzałka. Na konkursie, gdy się zdarzy, że kandydat zejdzie z tropu sztucznego (który jest o wiele trudniejszy do wypracowania), natenczas sędzia cofa menera z psem i każe mu pracować z tego miejsca, z którego kandydat zeszedł.

Takie cofnięcie jest dopuszczalne do 3 razy — oczywiście, że za każdem cofnięciem kandydat traci 1 stopień, czyli że gdy gładko przejdzie i doprowadzi — otrzyma stopień 4 (bardzo dobrze). Z jednem cofnięciem 3, z dwoma cofnięciami 2 i t. d. i dopiero gdy czwarty raz zejdzie, dostaje 0. Tak przynajmniej dotychczas na konkursach praktykowano — dowód: sprawozdanie inż. Gołęckiego (Nr. 10 „Myśliwego") z konkursu wyżłów dowodnych w Kórniku. Napisano tam wyraźnie, że „Ada z nad Czarnego Jeziora" wypracowała trop sfarbowany po powtórnem założeniu i otrzymała jeszcze pierwsze miejsce, II oficjalną nagrodę i zapis do księgi rodowodowej.

Tego prawidła jednak nie zastosowano w Niedźwiedziu, więc nic dziwnego, że żaden pies nie doprowadził do rogacza. A jeszcze pożałowania godne jest to, że gdy „Castor" był niedaleko mety, spostrzegł grupę panów wesoło i głośno rozmawiających (zamiast ukrytych, spokojnych) i rzecz naturalna, że pies, zamiast trzymać się tropu, odrazu wziął kierunek na to niespodziewane zjawisko. Bo trzeba się umieć wczuć z jakiem natężeniem nerwów taki pies pracuje na przestrzeni 500 metrów, oczekując każdej chwili zdobyczy. Koło tropowe nadawało się również do ćwiczeń, lecz nie do pracy konkursowej.

Albo „Iwan" p. Reszkego pracował w asyście jakichś 30 osób, zachowujących się z wielkim hałasem — czy to też należy nazwać pracą konkursową?

Trudno było od przewodniczącego konkursu z chorą nogą wymagać, aby był wszędzie i wszystko sam prowadził — w takim wypadku muszą sędziowie wzgl. kandydaci na sędziów dołożyć starań i powierzone im zadanie sumiennie spełnić, ze znajomością rzeczy — bo włożona przez cały rok praca w psa—kandydata wymaga, aby była sądzona przez myśliwych, znających się na tresurze psa, a nie przez strzelców, którzy nic wspólnego z kynologją nie mają.

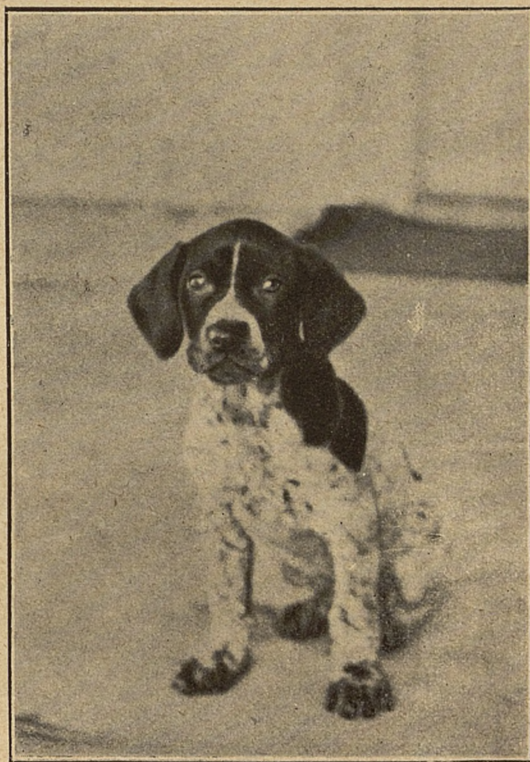
Oczywiście nie było nic łatwiejszego, jak konkurs przerwać i ogłosić, że psy nie są przygotowane odpowiednio na konkurs i wina za nieudanie się konkursu spada na barki menerów. Ja jednak uważam, że tak nie jest i z wyżej opisanych faktów niech pp. myśliwi sami osądzą kto zawinił, że konkurs po raz pierwszy na Pomorzu się nie udał.

A teraz garść uwag: — myśliwym ku rozwadze!

Czy nie należałoby zamiast tych publicznych konkursów, które jeszcze nam nic dobrego nie przyniosły (a jeśli coś, to bardzo mało), sprawy naszego wyżła w inny sposób rozwiązać?

Wiemy, że od 20 lat (i także przed wojną) urządza się konkursy, jednak zamiast poprawy — cofamy się wstecz.

Wprawdzie niektóre władze bardzo wiele tu zaszkodziły przez swą krótkowzroczną politykę łowiecką, naprzykład: zabronienie leśnikom zabierania psów do obwodu leśnego, co musiało wpłynąć bardzo ujemnie na tresurę i sprawność psów w pracy leśnej; pozatem zwalniano zdolnych leśników treserów ze służby. Nic też dziwnego, że dzisiaj mało kto się tą sprawą interesuje — można ich na palcach policzyć — i ze strony myśliwych zapomniano, że prawidłowe zachowanie się wobec postrzałka jest pierwszem przykazaniem myśliwego, najważniejszym jego obowiązkiem, podyktowanym etyką wobec zranionej zwierzyny.



Fot. J. Bończa Markowski.

Co zatem należy zrobić, aby złemu zaradzić? Należy jaknajprędzej urządzić szkoły treserów pod dozorem najlepszych fachowców i kynologów, którzyby przeprowadzili z młodym narybkiem — ludźmi zdatnymi i z zamiłowaniem — praktycznie i teoretycznie kurs tresury wyżła.

Inicjatywę do urządzenia tej szkoły musi dać Polski Związek Łowiecki.

Może myśliwi zabiorą w tej naglącej sprawie głos i wypowiedzą na łamach „Łowca Polskiego" swe uwagi na moje powyższe propozycje.

M. PRZYBYŁA

POLSKIE „PASEMKO" CZY ROSYJSKIE „PASYNEK"

Ogłaszając na łamach „Łowca Polskiego" „Potoczną terminologję łowiecką", trudno było mi przypuszczać, aby powszechnie używany wyraz „pasemko" mógł budzić jakiekolwiek zastrzeżenia, a nawet doczekać się twierdzenia, że nie należy zgoła do terminologji łowieckiej[1]). Ba! — aby to, co myśliwi stworzyli i czego używali — można było obecnie przy biurku wykreślić, a narzucić im wyraz obcy, nieznany i nieużywany. W artykule pt. „Czy wyraz „pasemko" należy do terminologji łowieckiej" [2]) dałem przykłady, że cały łowiecki świat kulturalny, najpoważniejsi polscy autorowie łowieccy używali wyłącznie słowa „pasemko". Twierdzenie, że wszyscy używali tego słowa „bezkrytycznie", [3]), i że wszyscy mylili się pod rząd jest zbyt śmiałe.



Stanisław Hr. Zamoyski z kuną leśną, upolowaną w Trzebieniu w grudniu 1938 r.

Osobiście głosować zawsze będę za „pasemkiem", a dlaczego — pragnę wyjaśnić.

Słowa „pasynek" użył tylko Bobiatyński, pochodzący ze szlachty białoruskiej; nie znał zaś tego wyrazu zupełnie rówieśnik jego w latach i jak on również wychowanek uniwersytetu wileńskiego, kapitan Wiktor Kozłowski. Nie znał też „pasynka", jako wyrażenia myśliwskiego, współczesny im S. B. Linde, człowiek o niezwykłym zasięgu wiedzy, a twórca polskiego słownika.

Tak często cytowany Kozłowski podał w swej „Terminologji" tylko dziewięć wyrazów myśliwskich, dotyczących łosia; Bobiatyński przytoczył ich o 6 więcej tj. 15, ja zaś zarejestrowałem największą ilość, bo 95 wyrazów. Z tego w ogłoszonej potocznej terminologji łowieckiej znalazło się tylko 46 wyrazów. Oczywiście, gdyby tu była mowa o słowniku myśliwskim, znalazłoby się w nim 95 wyrażeń, a wśród nich także — pasynek.

Z uwagi na fakt, że „pasynek" Bobiatyńskiego nie miał prawie żadnego żywota, że słowo to jest wybitnym rusycyzmem, pominięto go na rzecz znanego i używanego polskiego „pasemka".

Każdy patrzący na rzecz objektywnie przyzna, że wyraz „pasemko" zamyka w sobie pojęcie czegoś wydłużonego, a wąskiego. Tu niema chyba żadnej wątpliwości. Myśliwy polski, ten wielki gaduła, romantyk i poeta o dużej skłonności do obrazowości, stworzył „pasemko", gdyż znalazł w niem wymowne i jasne określenie odgałęzień łopat łosich. A gdyby w tem wyrażeniu nie było nawet stu procentów logiki, to faktu tego nie można zaliczyć na minus.

Dr St. Rospond, docent Uniwersytetu Jana Kazimierza, w artykule „W obronie języka ojczystego" [4]) pisze:

„Gdyby wyłącznie logika panoszyła się w języku, Wisła nie mogłaby płynąć, a Morskie Oko, nie byłoby okiem, a tembardziej morskiem. Słowem, nie byłoby przenośni i poezji w języku. Mówilibyśmy logicznie, ale bezbarwnie. Na szczęście język rozwija się przez twórczą wolność, a nie przez maksymalizm logiczny".

Według mojego zdania żadną miarą „pasemka" nie można wywodzić od rosyjskiego „pasynok". Tak jak polskim wyrazem jest „pasmo", tak i zdrobniałe od niego „pasemko" jest wytworem ducha polskiego.

Języka łowieckiego nie stworzyli i nie tworzą filologowie przy zielonym stole, lecz myśliwi na zielonym kobiercu łąk, pól i lasów. Zaś ludzie wiedzy i nauki rejestrują te wyrazy, dociekają ich pochodzenia, analizują je, a wynik ich pracy nie może mieć wpływu na zmianę danego wyrazu, czy też całkowite jego wyrugowanie, gdyż języka nie tworzy się na rozkaz, a jest on emanacją danej społeczności, w tym wypadku myśliwskiej.

Jeśli w tej sprawie zabieram głos, to nie czynię tego dla względów koleżeńskich, ani dla żadnej maksymy łacińskiej, ale dla dobra języka łowieckiego. A dobro to nakazuje mi zatrzymać słowo „pasemko", gdyż jest ono wybitnie polskie, piękne, obrazowe i oddające dokładnie potrzebne nam pojęcie; posługiwali się niem najwybitniejsi pisarze łowieccy i jest oddawna aż do dziś w użyciu praktykujących myśliwych.

Zdaje mi się, że są to argumenty bardzo ważkie i przemawiające na rzecz „pasemka", o którem między innemi dodatnio wyraził się w swym miłym i rzeczowym artykule [5]) dr Jan Podgórny.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

---

1) „Łowiec Polski" nr 9 z 20.III 1938 „W sprawie języka łowieckiego".

2) „Łowiec Polski" nr 16 z 1.VI 1938 r.

3) „Łowiec Polski" nr 32 z 10.XI 1938 r.

4) „Kurjer Literacko-Naukowy" nr 50/1938 (dodatek do I. K. C).

5) „Łowiec Polski" nr 35 z 10.XII 1938 „Słownictwo łowieckie".



Fotografja portretu ś. p. Edwarda Hr. Mycielskiego

Ś. p. EDWARD Hr. MYCIELSKI

W dniu 27 stycznia 1939 r. rozstał się z tym światem wartościowy obywatel ś. p. Edward hr. Mycielski, b. Lisowczyk, Łowczy Pol. Zw. Łow. na powiat wrzesiński. W zmarłym stracił Polski Związek Łowiecki bardzo zasłużonego współpracownika i znanego hodowcę-myśliwego, który z całem oddaniem pracował nad podniesieniem łowiectwa polskiego. Pamięć o Nim zachowa na zawsze

Wielkopolski Oddział Polskiego Związku Łowieckiego w Poznaniu.

Z DZIAŁALNOŚCI MIĘDZYNARODOWEJ RADY ŁOWIECKIEJ

Ze sprawozdania, nadesłanego przez prezesa M. Ducrocq'a, podajemy kilka szczegółów, dotyczących działalności Międzynarodowej Rady Łowieckiej w 1938 r.

Przedewszystkiem więc personel Rady został zwiększony przez zaproszenie, w charakterze generalnego sprawozdawcy, p. Paul Roquere, honorowego radcy stanu i komandora Legji Honorowej.

W sprawie wolnego przewozu broni myśliwskiej w obrocie międzynarodowym osiągnięto — jak to stwierdzono już na sesji berlińskiej — zwołanie do Paryża międzynarodowej konferencji celnej, która, uchwałą z dn. 3 lipca 1937 r., włączyła broń myśliwską używaną do artykułów dozwolonych dla czasowego przywozu do 13 krajów (w tej liczbie i Polski), uczestniczących w konferencji.

Ponieważ ratyfikacja rzeczonej uchwały ulega zwłoce, przeto urząd celny francuski postanowił wprowadzić w życie główne zasady uchwały, nie czekając powszechnej ratyfikacji. Okólnikiem z dn. 22 kwietnia 1938 r. N. 805 komory celne francuskie zostały powiadomione, że broń myśliwska używana może być swobodnie wwożona do Francji, pod warunkiem, aby posiadała ona wyraźne cechy używania i odpowiadała stanowisku społecznemu jej posiadacza. Wyjątek stanowią jedynie karabiny, posiadające cechy broni wojskowej.

Wiosną 1938 r. odbył się w Rouen Kongres Ligi Międzynarodowej Ochrony Ptaków, w którym z ramienia M. R. Ł. wziął udział Prezes M. Ducrocq oraz szereg członków Rady. Podczas kongresu przedstawiciel Anglji oświadczył, że wprowadzono tam wzbronienie przywozu do Anglji żywych przepiórek w okresie od 15 lutego do 1 lipca każdego roku. Ponieważ Anglja sprowadzała dotąd po kilkaset tysięcy przepiórek żywych, łowionych w sieci w Egipcie, przeto zarządzenie to zapobiegnie wyniszczeniu tej zwierzyny. Takież wzbronienie przywozu żywych przepiórek wydano już przedtem we Francji i w Italji.

W 1939 r. odbędzie się w Londynie międzynarodowa konferencja, zwołana z inicjatywy rządu angielskiego dla zbadania wyników stosowania konwencji londyńskiej z 1933 r., mającej na celu ochronę zwierzyny grubej w Afryce. W zależności od tych wyników poddana będzie zbadaniu sprawa rozciągnięcia konwencji także na posiadłości europejskie w Azji Południowej. W konferencji weźmie udział prezes Rady, p. M. Ducrocq, w charakterze przewodniczącego delegacji francuskiej.

W związku z zanikiem wśród zwierzyny zarazy zwanej „tularemia", Międzynarodowa Rada Łowiecka podjęła starania o cofnięcie zakazu przywozu żywej zwierzyny do Francji dla celów odświeżenia krwi. Starania te zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem.

Projekt utworzenia przy M. R. Ł. muzeum rekordowych trofeów łowieckich jest na drodze do realizacji. Rada otrzymała już szereg odlewów z trofeów, nagrodzonych na ostatniej wystawie Łowieckiej w Berlinie.

Prezes M. Ducrocq odwiedził w r. 1938 — za przykładem lat ubiegłych — szereg krajów celem bezpośredniego nawiązania stosunków z organizacjami łowieckiemi tych krajów.

J. G.



Stanisław Hoppe: „Polski język łowiecki" Warszawa rok 1939. Skład główny w Księgarni Rolniczej (Mazowiecka 10). Str. 145. Cena (z przesyłką) zł. 2.25.

Autor, nieznany prawie w piśmiennictwie łowieckiem, wystąpił nieoczekiwanie z pracą bardzo poważną, wymagającą długotrwałego, żmudnego przygotowania, a przedewszystkiem wielce pożyteczną.

Jest ona aktem obrony wymownego i barwnego, wspaniałego naszego języka łowieckiego, posługującego się od setek lat długim szeregiem wyrażeń specjalnych, stworzonych w kniei i polu przez myśliwych i dla myśliwych, w zgodzie jednak z duchem języka polskiego i ze rdzeniem słowiańskim jego tworzywa słowniczego, a przez to łatwo zrozumiałych dla wszystkich.

Jest ona aktem obrony przeciwko zabagnieniu tego języka obcemi naleciałościami, które wkradły się doń przez długie lata niewoli i podziału kraju pomiędzy wrogie narody i odmienne kultury, a które po szeregu lat stosowania, w początku w zamkniętych granicami dzielnicach kraju, po wielkiej wojnie rozpełzły się po całej Polsce, wprowadzając w wielu razach zamęt, wywołując nieporozumienia wśród świata łowieckiego, a nawet zachwaszczając mowę naszych fachowych pisarzy łowieckich, których dzieła i prace mają stanowić elementarz wiedzy i wzory dla przyszłych pokoleń.

To też praca Stanisława Hoppego przyszła jaknajbardziej w porę i niezaprzeczenie — bez względu na drobne usterki, przeoczenia, lub niezbyt usprawiedliwione neologizmy, czy wreszcie osobiste sympatje i antypatje do pewnych wyrażeń — stanowić będzie podstawę do dalszych studjów nad zagadnieniem ustalenia naszego współczesnego języka łowieckiego, co zresztą i sam Autor zapowiada.

Stąd wynika, jak sądzę, że praca ta poniekąd zatytułowana jest jakby zbyt po dyktatorsku, że właściwie tytuł jej brzmieć powinien: „Próba uporządkowania polskiego języka łowieckiego doby obecnej", co zresztą odpowiada ideologji pracy i przekonaniu Autora o tej kwestji, wyrażonemu między innemi w przedmowie.

Zresztą żywotność każdego języka polega na ustawicznem przez wieki urabianiu i przekształcaniu, w zależności od rozwoju zasięgu pojęć i od przemian zachodzących w ogólnej kulturze danego narodu, a zatem i ta część języka polskiego, która dotyczy łowiectwa, jako gałęzi życia o przejawach odrębnych, specjalnych, musiała ulegać zmianom i rozszerzaniu ilości wyrażeń potocznie użytkowych w danej epoce, i tak będzie również na przyszłość.

*

Nie uważając się bynajmniej za autorytet powołany do krytyki pracy p. Hoppego, zwłaszcza z punktu widzenia językoznawstwa, pozwolę sobie tem niemniej spróbować objaśnić w czem mianowicie upatruję pewne: usterki, przeoczenia, niezbyt usprawiedliwione neologizmy, lub wreszcie sympatje i antypatje osobiste Autora, które wpłynąć mogły na przyznanie „aktualnego obywatelstwa" jednym wyrażeniom, a na odebranie go innym.

Przytoczę kilka przykładów w oświetleniu mego zapatrywania na te „sporne punkty", nie wyczerpując jednak wszystkich gdyż byłby to trud, wymagający daleko więcej czasu i miejsca do wypowiedzenia się, niż ramy zwykłej recenzji na to pozwalają .

Dotąd używaliśmy potocznie dwa wyrażenia dla zobrazowania wyniku odbytego polowania: pokot i rozkład. Dlaczego p. Hoppe odrzuca to drugie? Wszak zwierzynę rozkłada się (lub układa) pokotem na ziemi, więc w tym samym stopniu nazwa na to może być wzięta od samej czynności, jak i od bliższego określenia tej czynności (jak?).

Nazwanie społeczności myśliwskiej myślistwem zwalczałbym jedynie z tego punktu widzenia, że sam staram się od szeregu lat wyrazami: polowanie, myślistwo i łowiectwo — rozgraniczyć pewne pojęcia ideologiczne, stwarzające definicje na: zdobywanie zwierzyny wogóle, niezależnie od rodzaju stosowanych sposobów i poziomu etyki myśliwego, (wszak i kłusownik „poluje"); na uprawianie polowania po myśliwsku (sportu myśliwskiego), zgodnie z prawem i kanonami etyki myśliwskiej, w złączeniu ze znajomością zachowania się zwierzyny w ostoi; wreszcie na wszystkie poczynania myśliwego od a do *zet*, związane przedewszystkiem z racjonalną gospodarką łowiecką, stanowiącą odrębny rodzaj wiedzy, ochroną zwierzostanów, z szerzeniem ogólnej wiedzy łowiectwa, jak również etyki myśliwskiej, z popieraniem i uprawianiem sztuki, tworzeniem i szerzeniem zamiłowania do piśmiennictwa łowieckiego i t. d. i t. d. aż do myśliwskiego polowania włącznie.

Pierwsze jest w moich definicjach polowaniem, drugie — myślistwem, trzecie — łowiectwem.

Nazwanie społeczności myśliwskiej—myślistwem, cóż daje? Przynosi tylko niekoniecznie potrzebny skrót, lecz nic nie tworzy. Nadto wygląda na tłomaczenie niemieckiego Jaegerschaft, w tem samem znaczeniu używanego. Tymczasem zastosowanie myślistwa w moich definicjach, śmiem twierdzić, pomaga do rozjaśnienia i rozgraniczenia pojęć, będących podstawą naszej ideologji współczesnej, z łowiectwem i jego rozwojem związanej, do czego, uważam, należy świadomie dążyć.

Pasemko — czy pasynek? Nie chcąc powtarzać dowodów ani poglądów J. Wł. Kobylańskiego, z któremi w zupełności jestem zgodny—odsyłam czytelnika na str. 160 niniejszego numeru „Łow. Pol." Uważam jednak w każdym razie, że, jeśli nawet mamy w dobie obecnej pewną liczbę zwolenników „pasynka", to pozostawmy go conajwyżej do wyboru obok pasemka, które doskonale, po polsku, obrazuje odrostek łopaty łosia, narówni np. z hakiem (rożek kozicy), grotem (w parostkach kozła), ostrogą (w łopocie daniela) sękami (u tegoż zwierza) i t. p. Pasemko, twierdzę więc, nie jest wcale „zniekształceniem właściwego określenia: pasyne", lecz doskonałym obrazem odrostka łopaty w rosochach łosia.

Gdy mowa o haku (róg kozicy), świetnie obrazującym kształt tego rogu, to znów p. Hoppe, tworząc neologizm na rogi muflona (ślimy i rogany) nie powoduje się istotnym wyglądem tego rogu. Róg muflona niczem nie przypomina ślimaka, lecz raczej właśnie jego skorupę, muszlę, odpowiednio skręconą i ząbkowaną. Natomiast całkiem nowe „rogan" jest sympatycznym może wyrazem i przyjąć go można bez sporów, lecz nieobrazowym.

Nie oddalając się zbytnio od „haków" kozicy, muszę wyznać, że nazwanie pniaków (zębów) jelenia (tych nieszczęsnych „grandli") również hakami nie odpowiada zupełnie obrazowi życia i wolałbym pozostać tylko przy pniakach, jeśli ktoś bardziej obrazowego wyrażenia nie znajdzie w przyszłości.

Można się spierać także o to, czy nie lepiej jest nazwać „choke" w lufie zwężeniem, zamiast przewężeniem; czy używać dość niezrozumiałego wyrażenia „kulki" na oznaczenie szynek i łopatek (kości z mięsem) jako dziczyzny (mięsa zwierzyny); czy wreszcie dzik postrzelony i naciskany przez psy, atakując my-

śliwego, idzie na dym, skoro teraz strzela się prochem bezdymnym... Wszak nie mówi się już obecnie: zwierz „został z dymem", lecz — został w ogniu, więc i tam możnaby to zastąpić innem jakiemś wyrażeniem.

Wśród opuszczeń (p. Hoppe zapowiada zresztą sam uzupełnienie z przyszłości) brak mi szczególnie liniaka (cietrzewia) i róży, jako nazwy odcisku łapy rysia na śniegu. Brak mi również bardziej popularnych, gwarowych nazw zająca, które warto było wymienić choćby ze względu na to, że jest on najbardziej popularną zwierzyną czworonożną, stanowiącą zdobycz każdego myśliwego bez wyjątku.

Natomiast, jeśli chodzi o odchwaszczenie polskiego języka łowieckiego, co Autor usiłuje, zda się, uczynić, uznając nawet potrzebę zastąpienia innemi, rdzennie polskiemi wyrazami w przyszłości: defilatora, manewrów, remizy, aportera, selekcjonowania — to muszę zarzucić zatrzymanie w jego pracy „flanku" zamiast skrzydła czy boku (str. 48 i 94).

Wolałbym też użyć wyrazu mięsiarz (a nie mięsarz), jak to czyni autor ze ścierwiarzem (a nie ścierwarzem).

I jeszcze coś zupełnie innego: pisze Autor „kura ugodzona w pierś robi świecę"... w innem miejscu, postrzelona w płuca lub głowę robi świecę". Sądzę, że to może niepotrzebnie zmylić pojęcie czytelnika. Kuropatwa robi świecę, gdy jest trafiona w szyję lub grzbiet (wogóle w kręgosłup). Inna rzecz, że postrzał z przodu, przez pierś, może przeniknąć do kręgosłupa i uszkodzić go.

Chcąc wyczerpać wszystkie „dziedziny" zarzutów, jakie nieraz zgłaszają poszczególni myśliwi dbali nietylko o czystość, lecz i o jasność, niedwuznaczność słownictwa łowieckiego, a zgadzając się w zasadzie z tą troską, uważałbym za słuszne — nie kwestjonując polskiego i starołowieckiego pochodzenia niektórych określeń i nazw— usunąć, a przynajmniej unikać w potocznem używaniu takich wyrazów, jak bukiet, fartuszek, serweta, chmara i t. p.; wystarczą: odpowiedniki: kwiat, — o fartuszku pocóż wogóle mówić—talerz, stado. Niektórzy idą tak daleko, że woleliby nie czytać i nie słyszeć nic o gwiździe ani o tabakierze dzika, lub o polanie wilka. Skoro jednak przywykliśmy do wyrażeń szable i fajki na oznaczenie kłów dolnych i górnych, które, chociaż wydają się dziwolągami, odpowiadają swym określeniom wyglądem, to możemy u dzika zgodzić się również z gwizdem, zakończonym tabakierą, któremi dmucha, fuka, rechta. Co innego wilcze polano lub bark — mamy bardziej wymowną wiechę.

*

Jeśli chodzi o układ samej pracy p. Hoppego, o formę jej podania, to trzeba przyznać i z uznaniem podkreślić, że Autor rzecz suchą, niezajmującą pod postacią typowego słownika, podaje w formie gawędy czy pogadanki na zasadnicze tematy, z łowiectwem, zwierzyną, myślistwem i polowaniem związane, co wywiera ten pożądany skutek, że czytelnik-myśliwy chętnie całą książkę przeczyta odrazu, jak książkę naukowo-rozrywkową, nie zaś jak słownik, który zrzadka poznaje w potrzebnych mu w danej chwili fragmentach. Zwłaszcza ta forma pracy p. Hoppego jest nader pożyteczna i szczęśliwa, jeśli chodzi o młode pokolenie myśliwych, których nietylko słowa, lecz i treść musi zainteresować, a do poszczególnych jej rozdziałów chętnie będą powracać.

Może jednak jest coś w tym układzie, co można było ominąć, a co czyni te rozdziały gawędy, czytane jedne za drugiemi kolejno, nieco monotonnemi. Oto powtarzanie tego samego słownictwa przy długim szeregu zwierząt, do których się ono równocześnie odnosi. Np. patrochy i narogi, patroszenie, żer, żerowisko, farba, trop, ślak i t. p. W wyniku otrzymaliśmy w szeregu rozdziałów o różnej zwierzynie prawie identyczne niektóre zdania pogadanki.

Natomiast żałować należy, że Autor nie zadał sobie trudu rozbicia jednego z końcowych rozdziałów („O łowiectwie, a więc"... i t. d.) na kilka, w szczególności w odniesieniu do psa myśliwskiego, potrzeb i przyborów myśliwskich, zwyczajów myśliwskich.

Z tem wszystkiem jednak raz jeszcze należy sumiennie podkreślić, że praca Stanisława Hoppego jest wydawnictwem na czasie, bardzo pożytecznem i odpowiednio podanem. Uznał to i Polski Związek Łowiecki, który zakupił znaczniejszą ilość egzemplarzy tej pracy, by nią obdzielić wszystkich prenumeratorów „Łowca Polskiego" po cenie wyraźnie premjowej.

„Polski język łowiecki" ozdobiono szeregiem fotografij Autora oraz rysunkami p. Wł. Jagosza, doskonale ilustrującemi niektóre części książki.

Na str. 4-ej, poprzedzającej całość pracy, wydrukowano głęboki w treści aforyzm, który powinien znaleźć powszechne zastosowanie w życiu wszystkich myśliwych. Autorem tego aforyzmu jest szeroko znany myśliwy, wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego, Maurycy Hr. Potocki.

*

Włodzimierz Korsak: „*Leśne ognisko*", Wilno 1939 r., nakładem Wojewódzkiej Rady Polskiego Związku Łowieckiego w Wilnie. Str. 180. Cena zł. 3.

Z żyjących dziś przedstawicieli literackiej twórczości łowieckiej niezaprzeczenie stoi na czele Włodzimierz Korsak, myśliwy z Bożej łaski, rozporządzający wielkiem doświadczeniem, odznaczający się niezwykłem odczuciem przyrody, znawca puszcz kresowych, jako pisarz pełen utalentowanej fantazji i doskonały narrator.

Pióro Korsaka nie po raz pierwszy błysnęło klejnotami obrazów w opisach przyrody, usianych malowniczemi porównaniami tego, co dzieje się w kniei, co ona niesie w duszę patrzącego w nią z miłością.

Ostatnia książeczka Korsaka z dwunastu złożona nowel nie ma jednolitego charakteru twórczości. Są tam refleksyjne rozmyślania („Leśne ognisko"), mistyczne wizje („Majaki"), dramatyczne, przejmujące epizody („Dublet"), wreszcie wspaniałe, niezapomniane wspomnienia z myśliwskiego życia własnego lub opowieści innych. Na czoło tych ostatnich wybija się „Słoneczna pieśń", „Cztery dni lutego" i „Iskra w mrokach." Prócz tego wspaniały wprost jest opis bujnego życia na rzuconem w głąb puszczy jeziorze („Jezioro"). Jest również i trochę humoru, podanego w subtelnej formie, wytrawną ręką opanowanego pisarza („Dziwny wilk").

Jakże wspaniale malowane są wszędzie typy i psychologja ludzi lasu: ich prostota, szczere umiłowanie łowów, naiwność dziecinnych nieraz serc obok chytrości i chciwości, przesądy i wiara w najstraszliwsze i najnieprawdopodobniejsze legendy i podania. Wszystko razem. Typów tych, o różnych wyświetleniach dominującej cechy, znajdujemy w „Leśnem ognisku" sporo. A wszystkie są tak wyraziste, tak żywe, charakterystyczne— i tak sympatyczne! Borejko („Nocna przygoda") nas śmieszy, irytuje, lecz i rozbraja zarazem. Stary Harasim („Echa Prawieków") opowiada z przejęciem i wiarą, że sam widział zamłodu „potwory dopotopne", snuje całą historję o nich, pełną „faktów" i szczegółów, twierdzi, że zna miejsce, gdzie leżą kości tych jaszczurów „kroków piętnaście dłużyny". No, ale gdy miał „tam" dowieźć Autora niedzieli umówionej... właśnie zastał go on już na śmiertelnem łożu, nieżywego.

Niezwykle są również zajmujące i żywe powiadania z polowań w krajach „egzotycznych": „Z Turkiestanu" i „W górach Kaukazu".

I oto cała książeczka: miła, czarująca, uroczna. Znajdujemy w niej uśmiechy słoneczne najwyższej radości myśliwskiej i żal i ból zawodów — a wszystko osnute najczystszem umiłowaniem kniei i zwierza, i ludzi...

Przy tej sposobności czuję się w obowiązku podkreślić ten pierwszy objaw troski wśród Wojewódzkich Rad Łowieckich P. Z. Ł. o nowe wydawnictwa łowieckie, co niechże stanie się hasłem na przyszłość. Hasło to rzuciło pierwsze Wilno!

WŁ. Z.

*

Jan Sokołowski. *Drop (Otis tarda L.) w Polsce*. Kraków 1939.

Nakładem Państwowej Rady Ochrony Przyrody ukazała się praca p. J. Sokołowskiego, ujmująca po raz pierwszy w pewną całość rozproszone dotąd po rozmaitych wydawnictwach wiadomości o dropiach w Polsce. Skrzętnie zgromadzony materjał bibljograficzny uzupełnił autor wynikami zorganizowanej przezeń ankiety, której kwestjonarjusze były rozsyłane za pośrednictwem „Łowca Polskiego" oraz „Łowca" lwowskiego w 1936 r. Pozatem, mieszkając dłuższy czas w Poznańskiem, autor zebrał dużo ciekawych spostrzeżeń oraz zdjęć fotograficznych podczas własnych obserwacyj, prowadzonych przezeń nad dropiami tej okolicy kraju.

Obecny stan dropi w Polsce, zilustrowany na dołączonej do książki mapce, wskazuje, że dropie gnieżdżą się w województwach: poznańskiem, białostockiem, lubelskiem, poleskiem i tarnopolskiem. Co do tego ostatniego województwa ma autor jednak wątpliwości wobec zastrzeżeń inż. W. Lindemanna (por. Nr. 29 i 30/38 r. „Łowca Polskiego") co do istnienia jeszcze w tarnopolskiem stałych stanowisk dropi. Według danych ankiety ilość dropi w tych 5 skupieniach przedstawia się następująco: w poznańskiem — około 300 sztuk, w białostockiem — około 50, w lubelskiem — 36, w poleskiem — 12 i w tarnopolskiem — 15 sztuk. Razem 413 dropi. Pozatem w województwie lwowskiem i wileńskiem, gdzie dropi lęgowych już niema, pojawiają się one regularnie w okresie przelotów.

Przyczyn zaniku dropi — dość popularnych przedtem nietylko u nas, ale i w Europie Zachodniej *) — jest kilka. Jako ptak stepowy — ojczyzną dropia są bowiem rozległe stepy Azji i Rosji południowej — wymaga on dużych przestrzeni otwartych, zapewniających dalszą widzialność, jako warunku bezpieczeństwa. Rozległe pola uprawne całkowicie mu dogadzają, umożliwiając przenoszenie się z miejsca na miejsce nawet podczas robót polnych. Natomiast parcelacja, powodująca rozdrobnienie pól i zagęszczenie sadyb, zmusza dropie do opuszczenia stanowisk. Do wytępienia dropi przyczynia się dalej wybieranie jaj i piskląt przez pasterzy i włościan, oraz niszczenie gniazd przy zbiorach, co jest ułatwione przez to, iż gniazda są zakładane w zbożu i w trawach bez wszelkiego przykrycia.

Zimę dropie, zamieszkujące dzielnice o klimacie łagodnym, jak np. poznańskie, spędzają na miejscu, natomiast dropie z białostockiego czy Polesia odlatują na południe. Surowa zima 1929 r. odbiła się jednak fatalnie na dropiach poznańskich, których duża część zmarnowała się. Drop jest naogół ptakiem mało inteligentnym i nieruchawym. Podczas deszczu nietylko nie stara się ukryć — choć zimne deszcze są dla młodych szkodliwe — ale nie umie nawet otrząsnąć mokrych piór. To też wyjątkowe mrozy r. 1929 nie zmieniły jego postępowania — stania bez ruchu na otwartem polu — co pociągnęło za sobą liczne wypadki zamarzania.

Toki dropi rozpoczynają się w kwietniu i trwają do końca maja, przyczem odbywają się od rana do wieczora. Ponieważ samce żadnego głosu nie wydają, przeto tok obliczony jest wyłącznie na efekt wzrokowy. Polega on na takiem puszeniu piór, że ukryte do tego czasu białe poszycie przykrywa bronzowy grzbiet i ptak wygląda jak biała kula, widoczna w polu z odległości paru kilometrów. Samica znosi 2 — 3 jaja i wysiaduje je 23 dni. Pisklęta opuszczają gniazdo już po 24 godzinach.

Aby utrzymać u nas dropie autor zaleca w tych wypadkach, kiedy parcelacja jest nieunikniona, zachować przynajmniej, przy t. zw. resztówce te właśnie pola, na których dropie przebywały, a następnie wysiewać na nich jaknajwięcej rzepaku, ulubionego pokarmu dropi i dobrego ukrycia gniazd z powodu późnego sprzętu.

J. G.

*

Kalendarz Anczyca. Wielce zasłużona drukarnia Anczyca, wydała w tym roku „Kalendarz drukarni W. L. Anczyca i spółki w Krakowie na rok Pański 1939". Jest to wydawnictwo o szacie artystycznej, zawierające tylko calendarium oraz 14 doskonałych reprodukcji świetnego malarza J. Sadelera (1583—ok. 1620). Wszystkie te ryciny, wzięte ze świata zwierzęcego, nadają wydawnictwu charakter sui generis kalendarza myśliwskiego; oto one: Orfeusz wśród zwierząt. — Lwy i pantera. — Jelenie i łoś. — Kuny, wiewiórki i wiwera. — Konie. — Psy. — Lis, świstak, kret i zając (z rogami). — Wielbłądy. — Nosorożec i słonie. — Małpy. — Małpy i koty. — Żubr, lis, jeż i małpa. — Niedźwiedź, dzik i zające. — Kłótnia czworonogów.

Na końcu kalendarza znajduje się krótka lecz treściwa notatka prof. Karola Estreichera. Z niej dowiadujemy się, że ryciny te pochodzą z serji, które artysta Sadeler, pochodzący ze znanej rodziny sztycharzy flamandzkich, zatytułował: *Animulium quadrupedum omnis generis verae et artificiosissimae delineationis in aes incisae et editae ab Justo Sadelero*", co w przekładzie polskim brzmi: „Zwierząt czworonożnych wszelkiego rodzaju prawdziwe i bardzo kunsztowne rysunki na miedzi wyryte i wydane przez Justusa Sadelera".

Zamiłowanie do przedstawiania zwierząt — pisze prof. Estreicher — było w renesansowem malarstwie flamandzkiem duże. W Polsce mamy piękny a podobny przykład przedstawień świata zwierzęcego w arrasach wawelskich.

Oryginały reprodukowanych w kalendarzu Anczyca rycin stanowią własność Gabinetu Rycin Polskiej Akademji Umiejętności.

*

Łowieckie ścianki kalendarzowe. Dla ewidencji współczesnej propagandy drukowanego słowa łowieckiego notuję, że redakcja „Myśliwego" wydała dwie reklamowe tekturowe „ścianki" do zwykłych, kartkowych kalendarzy ściennych. Format ich 39×24 cm. Ścianka z 1938 r. zawiera rysunek Leona Prauzińskiego, przedstawiający jelenia, reprodukowanego na karcie tytułowej" „Myśliwego" nr. 1 z 1937 r. Ścianka z 1939 r. przedstawia „Dziki" M. Romały, który to obraz otrzymali i jako noworoczną premję prenumeratorzy „Myśliwego". Obie ścianki obzdobione rysunkami cechuje artyzm.

*

Inż. Tadeusz Sroczyński: *Międzynarodowa ocena trofeów myśliwskich*. Z ilustracjami. Lwów, 1938. Odbitka z „Łowca" nr. 23—24 z 1938 r. Cena 1 zł.

Broszura konieczna i potrzebna, poruszająca temat zawsze aktualny, wprowadzająca tak potrzebną unifikację w dziedzinie, w której dotąd panował szkodliwy rozgardjasz. Bowiem przy ocenie trofeów różne narody stosowały różne formułki, tak że niemożliwością były jakiekolwiek porównania na platformie międzynarodowej, a tem samem wzajemna ocena posiadanych trofeów.

O ważności tego zagadnienia świadczy fakt, że równocześnie omawia je szeroko inż. Wł. Lindemann w „Kalendarzu Myśliwskim" na rok 1939. Praca ta ma się ukazać również w osobnej odbitce.

*) W Niemczech stan obecny dropi przekracza 3 tys. sztuk.

Dzięki Międzynarodowej Radzie Łowieckiej (Conseil International de la Chasse) mamy dziś nowe, ustalone i obowiązujące wszystkie państwa formułki. Rozpowszechnianie ich drogą specjalnych broszurek jest rzeczą chwalebną.

W broszurze inż. Sroczyńskiego brak jest kozicy. Najprawdopodobniej nierychło nadejdzie czas, kiedy polski myśliwy będzie mógł polować na kozice, pomimo to jednak ocena haków kozic powinna się była tam znaleźć. Jeśli idzie o terminologję zastosowaną w tej broszurze, to nadmienić pragnę, że na oznaczenie odnóg łopat łosia posiadamy w języku łowieckim wybitnie polski, zrozumiały wyraz, używany przez dawnych i współczesnych pisarzy myśliwskich, a to „pasemko". Wyraz „pasynek" jest rusycyzmem, barbaryzmem, ponadto zupełnie niezrozumiałym dla Polaka. Również „ślimak" muflona wydaje mi się niezbyt szczęśliwy; użyta przez inż. Lindemanna „muszla" oddaje znacznie lepiej istotę rzeczy.

Praca inż. Sroczyńskiego jest sumienna. Autor był predestynowany do jej napisania, gdyż sam był czynnym członkiem międzynarodowej komisji oceny trofeów podczas berlińskiej wystawy.

JÓZEF. WŁ. KOBYLAŃSKI

ROZMAITOŚCI

WYSTĘPOWANIE BRODAWEK SKÓRNYCH (VERRUCAE) U KUROPATWY.

We wrześniu 1938 r. otrzymałem do zbadania od p. Zbigniewa Morawskiego okaz młodej kuropatwy, ubitej przez niego 14.IX 1938 r. w m. „Wełna" powiatu obornickiego. Kuropatwa ta posiadała na swem ciele rozsiane mniejsze i większe brodawki skórne. Barwa ich była czarniawo szara, powierzchnia naga, gdzieniegdzie tylko z pojedyńczemi drobnemi pióreczkami.



Rozmieszczenie brodawek było następujące: 1) Na górnej prawej powiece niewielka brodawka. 2) Na dolnej powiece prawej, brodawka duża, wielkości sporego grochu. 3) Na powiece górnej lewej brodawka jeszcze większa, niż poprzednia. 4) Nasada dzioba u góry była zupełnie brodawkowato zniekształcona, a po jej obydwu stronach znajdowały się brodawki drobniejsze pojedyńcze. 5) Na palcu zewnętrznym i środkowym nogi prawej, w połowie ich długości, po jednej dosyć dużej brodawce. 6) W dolnej części tylnego, prawego przedudzia kilka brodawek. 7) W połowie długości lewego śródstopia, po stronie zewnętrznej, brodawka.

Wyrośle te skórne stanowiły t. zw. „brodawki pospolite czyli twarde *(Verrucae vulgares vel durae)*". Badanie mikroskopowe, histologiczne, przeprowadzone w Zakładzie anatomji patologicznej Un. Pozn., wykazały następującą ich budowę: brodawka pokryta jest nabłonkiem wielowarstwowym płaskim, wyraźnie odgraniczonym. Pod nabłonkiem znajdują się pasma tkanki łącznej, wśród której widać rozlane ogniska z limfocytów, nielicznych leukocytów wielopłatowych, obojętnochłonnych, oraz barwik brunatny. W warstwach głębszych stwierdza się liczne komórki chrzęstne, gęsto obok siebie ułożone i otoczone delikatnemi pasemkami łącznotkankowemi. Owe ogniska świadczą o procesie zapalnym, jaki miał miejsce w brodawce, a z jakim w podobnych brodawkach nierzadko się spotykamy.

Brodawki są wywoływane u ludzi i zwierząt przez zarazek przesączalny. Występują one niekiedy na ciele danego osobnika bardzo licznie. O ileby ktoś z czytających tę notatkę spotkał się kiedyś z podobnem występowaniem brodawek u kuropatw lub innych ptaków, to prosiłbym go o łaskawe powiadomienie.

Dr. EDWARD LUBICZ-NIEZABITOWSKI
Prof. Uniw. Pozn.

Z P. Z. Ł.*)

WOJEWÓDZTWO LUBELSKIE.

Zgodnie z § 43 statutu Polskiego Związku Łowieckiego w dn. 5 marca r. b. o godzinie 12 w południe, w sali konferencyjnej Państwowego Banku Rolnego, Oddział w Lublinie, przy ulicy Szopena Nr. 6, odbędzie się doroczne zwyczajne Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.

Skład Walnego Zgromadzenia określa § 39 statutu Związku.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie;
2) Wybór 2 sekretarzy i 4 asesorów (§ 40 statutu);
3) Zatwierdzenie protokółu poprzedniego Walnego Zgromadzenia z dn. 29 sierpnia 1937 r. (Protokół będzie wyłożony do wglądu w tejże sali na godzinę przed rozpoczęciem posiedzenia);
4) Sprawozdanie Rady Wojewódzkiej z działalności za okres od 30-go sierpnia 1937 do 31 grudnia 1938 r.
5) Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej i wniosek o udzielenie absolutorjum;
6) Sprawozdanie Prezesa Wojewódzkiego Sądu Łowieckiego;
7) Dyskusja nad sprawozdaniami i udzielenie absolutorjum;
8) Preliminarz budżetowy na 1938 i 1939 rok, (§ 41 pkt. c statutu);
9) Uzupełniające wybory 3 członków do Rady Wojew. do końca bieżącej kadencji 1937—1940 r. (§ 45 statutu);
10) Wybór Komisji Rewizyjnej na rok 1939 (§ 68 statutu);
11) Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Związku w Warszawie, (§ 41 pkt. c statutu);
12) Wnioski, zgłoszone do Rady Woj. w trybie § 42 statutu Związku.

Walne Zgromadzenie, zgodnie z § 38 statutu, będzie ważne w wyznaczonym terminie bez względu na liczbę obecnych.

W przeddzień Walnego Zgromadzenia, t. j. 4 marca r. b., o godzinie 18-tej, odbędzie się w tymże lokalu plenarne posiedzenie Rady Wojewódzkiej, z udziałem pp. Łowczych Powiatowych, celem omówienia spraw organizacyjnych i finansowych, a także związanych z Walnem Zgromadzeniem Wojewódzkiem. Porządek dzienny posiedzenia Rady zostanie zakomunikowany na zebraniu.

*) Dalszy ciąg na str. 166.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

WOJEWÓDZTWO WILEŃSKIE.

Na podstawie § 38 statutu Polskiego Związku Łowieckiego odbędzie się w Wilnie w dniu 5 marca 1939 r (niedziela) o godz. 11 rano w lokalu Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich (Wielka 66) Doroczne Walne Zgromadzenie Wojewódzkie Polskiego Związku Łowieckiego.

W myśl § 38 statutu P.Z.Ł. Walne Zgromadzenie będzie prawomocne w pierwszym terminie bez względu na liczbę obecnych.

W myśl § 42 tegoż statutu na Walnem Zgromadzeniu mogą być rozpatrywane tylko te wolne wnioski, które na dwa tygodnie przed zgromadzeniem zostały zgłoszone.

Porządek obrad:

1. Zagajenie.
2. Wybór 2 sekretarzy i 4 asesorów do Prez. zgromadzenia.
3. Sprawozdanie Wojewódzkiej Rady Łowieckiej z działalności za rok 1938.
4. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
5. Przyjęcie projektu normalnego budżetu Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.
6. Zatwierdzenie samodzielnego budżetu Oddziału (§ 48 ust. 3 statutu).
7. Wybory:
   a) Prezesa Oddziału (Łowczego Wojewódzkiego P.Z.Ł.).
   b) 2 wiceprezesów.
   c) ustępujących członków Wojew. Rady Łowieckiej.
   d) 3 członków i 2 zastępców Komisji Rewizyjnej.
   e) delegatów na Walne Zgromadzenie Związku.
8. Wolne wnioski zgłoszone w trybie § 42 statutu.

WOJEWÓDZTWO WARSZAWSKIE.

Warszawska Wojewódzka Rada Łowiecka niniejszym zawiadamia, że Walne Zgromadzenie Wojewódzkie Oddziału Warszawskiego Polskiego Związku Łowieckiego odbędzie się w dn. 28 marca 1939 r. o godz. 18-ej w lokalu Polskiego Tow. Łow. Warszawa — N.-Świat 35 m. 17 w/g następującego porządku:

1) Zagajenie.
2) Wybór 1 sekretarza i 2-ch asesorów.
3) Odczytanie protokółu z poprzedniego Walnego Zgromadzenia odbytego w dn. 13 stycznia 1938 r.
4) Sprawozdanie Rady z dotychczasowej działalności.
5) Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
6) Preliminarz budżetowy na 1939 r.
7) Uzupełniające wybory do Rady na miejsce członków, którzy ustąpili z Rady.
8) Wnioski zgłoszone do Rady w trybie § 42 Statutu.

*

Walne Zgromadzenia Powiatowe są zwoływane przez Łowczych Powiatowych na mocy § 50 statutu P. Z. Ł.

Porządek dzienny Walnych Zgromadzeń Pow. jest następujący:

1. Zagajenie.
2. Wybór 2 asesorów i sekretarza do Prezydjum.
3. Odczytanie protokółu ostatniego Walnego Zgromadzenia.
4. Sprawozdanie Łowczego Powiatowego z działalności Powiatowej Rady Łowieckiej za rok ubiegły.
5. Wybory Członków Pow. Rady Łowieckiej na rok bieżący.
6. Wybory delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7. Wolne wnioski.

Według powyższego porządku dziennego odbędą się następujące Walne Zgromadzenia powiatowe:

3 marca 1939 r. powiatu Nieszawa woj. pomorskiego w Aleksandrowie Kujawskim, w sali Sejmiku, o godz. 11-ej.

4 marca 1939 r. powiatu Łuniniec woj. poleskiego w Łunińcu, w sali konferencyjnej Wydziału Powiatowego, o godz. 17-ej.

5 marca 1939 r. powiatu Ostrołęka woj. białostockiego, w sali Klubu Tow. przy ul. Mostowej 1, o godz. 12-ej.

5 marca 1939 r. powiat Sarny woj. wołyńskiego w Sarnach, w sali Sejmiku Powiatowego o godz. 11-ej.

9 marca 1939 r. powiatu Grodzkiego Warszawa—Śródmieście, przy ul. Nowy Świat 35 (lokal P. T. Ł.) o godz. 19-ej.

10 marca 1939 r. powiatu Brodnica woj. pomorskiego w Brodnicy, w sali Rady Powiatowej, o godz. 11-ej. **Na zebraniu tem,** prócz normalnego porządku dziennego, **omówione będą sprawy organizacyjne.**

11 marca 1939 r. powiatu Hrubieszów woj. lubelskiego w Hrubieszowie, w lokalu Związku Ziemian, o godz. 11-ej.

11 marca 1939 r. powiatu Włocławek woj. pomorskiego, we Włocławku, w mieszkaniu płk. A. Laszenki, ul. Bulwary Marszałka Piłsudskiego 22, o godz. 16-ej.

12 marca 1939 r. powiatu Radzyń woj. lubelskiego, w Radzyniu, w sali Banku Spółdzielczego, o godz. 15-ej. **Na zebraniu tem,** prócz normalnego porządku dziennego **omówiona zostanie sprawa pokazu trofeów.**

15 marca 1939 r. pow. Kartuzy woj. pomorskiego w Kartuzach.

26 marca 1939 r. powiatu Warszawa w Warszawie, w lokalu Polskiego T-wa Łowieckiego, Nowy-Świat 35, o godz. 12-ej.

TREŚĆ NUMERU:

Stanisławowi Zaborowskiemu w ostatnim hołdzie — *L. Pac Pomarnacki.* Jeszcze trochę o kaczkach — *A. Dunajewski.* Afryka— *St. Zaborowski.* Gach (wiersz) — *W. L. von Falkenau.* Noworoczne polowanie na osznurowane wilki — *Inż. E. Woynicki.* Tragedja zwierzyny w Puszczy Białowieskiej — *P. Bark.* Żmija — *A. Rzewuski.* Szkody dzicze — *St. Russel.* W Puszczy Rudnickiej — *Wł. Zabiełło.* Cechowanie broni: broń angielska — *Brochwicz.* W sprawie wyżłów dowodnych — *M. Przybyła.* Polskie „pasemko" czy rosyjski „pasynek" — *J. Wł. Kobylański.* Z żałobnej karty: ś. p. Edward hr. Mycielski.

Z działalności Międzynarodowej Rady Łowieckiej—*J. G.* Przegląd wydawnictw—*Wł. Z., J. G., J. Wł. Kobylański.* Rozmaitości: Występowanie brodawek skórnych u kuropatwy — *Dr. E. Lubicz Niezabitowski.*

Z Polskiego Związku Łowieckiego: Walne Zgromadzenie Organów P. Z. Ł.

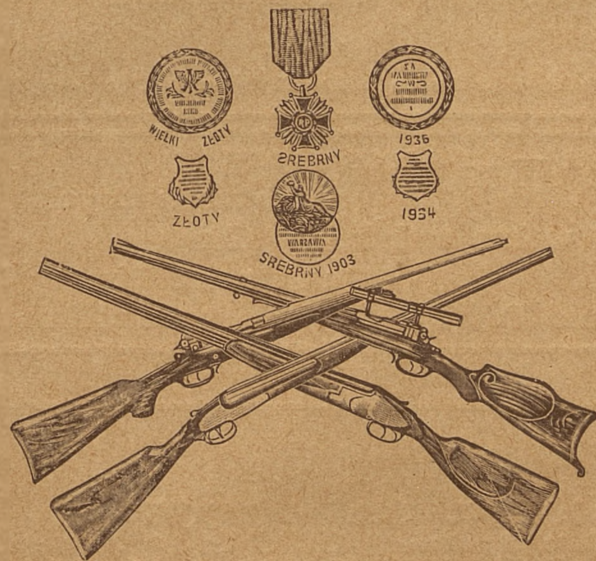
KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, K. Świderski, K. hr. Wodzicki, Wł. Zabiełło, i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa



WIELKI ZŁOTY
SREBRNY
1936
ZŁOTY
1934
SREBRNY 1903